Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

● DLACZEGO FRANCUZI NIE LUBIĄ GLEMPA? ● GORĄCE WILNO ● BIERUT W KOZŁÓWCE ● ŚWIDNIK 1980 ● ANARCHIŚCI ● EKOLODZY KONTRA LETNICY ● POLEMIKA PROF. BENDERA

TYGODNIK WSCHODNI

relacje

PL ISSN 0660-8830

LUBLIN, 7-13 IX 1989 R. NR 34 CENA 120 ZŁ

Reprod. Waldemar Stępień

50 LAT TEMU...

WRZEŚNIOWE DROGI PREZYDENTA I PREMIERA NA LUBELSZCZYŹNIE

str. 10-11

DO ROBOTY?!

Wiesław Horabik

WYDAJE się, że impas rządowy został przezwyciężony. Przy okazji stało się coś, czego w najbardziej karkołomnych przewidywaniach nie brali pod uwagę polityczni futurolodzy rozmaitej proweniencji. Na czele rządu stanął przedstawiciel „Solidarności", tej samej, która, wyklęta na dziewięć długich lat, do niedawna jeszcze zbierała wyłącznie epitety, jeśli nie formalne cięgi. Na czele rządu stanął człowiek internowany przed dziewięciu laty jako jednostka szczególnie niebezpieczna dla państwa. Na dodatek impas rządowy został przełamany dzięki śmiałemu manewrowi politycznemu wczoraj jeszcze „prywatnego obywatela", z którym władze PRL „nigdy nie będą rozmawiały". Takie są fakty, znamy je wszyscy, choć Bogiem a prawdą, nie do wszystkich dociera w pełni ich znacząca wymowa.

Ewolucyjny proces przekształcania Polski w kraj demokracji parlamentarnej doznał nagłego przyspieszenia. Według kryteriów minionych lat, przerodził się nawet z ewolucji w rewolucję. Jak inaczej bowiem nazwać głębokie zmiany systemowe, odwracające polityczne i gospodarcze oblicze kraju o sto osiemdziesiąt stopni? Jak inaczej skomentować fakt, iż po raz pierwszy od czterdziestu pięciu lat na czele rządu staje człowiek z ugrupowania popartego w wyborach przez ogromną większość Polaków? Mamy więc demokratycznie, „oddolnie" wybranego premiera, co daje, z kolei gwarancję uformowania demokratycznego, „oddolnie" aprobowanego rządu. Otrzymujemy szansę równą innym demokracjom funkcjonującym w Europie. Sprawa jest zatem prosta. Oto teraz zakasujemy rękawy i zabieramy się wszyscy do pracy, by konkretnymi efektami ekonomicznymi podtrzymać n a s z rząd „zaufania narodowego". Podobnie jak miało miejsce w innych, dziś bogatych i zasobnych krajach, zabieramy się z całą energią do odbudowywania zrujnowanej gospodarki, do porządkowania stosunków pracy i płacy, do mozolnego wychodzenia z dołka. Zabrakło nam już bowiem argumentów na „nie". Ster rządów krajem trafił w odpowiednie ręce.

Co więcej, Parlament w swej drobiazgowej mrówczej działalności zabiera się do porządkowania prawa, wypełniania treścią „białych plam" w budżecie, już wypytuje o to, komu i za ile sprzedajemy węgiel, cukier, mięso i statki, już rozważa kwestię polskich dróg tranzytowych, przemieszczania się po polskim niebie rozmaitych samolotów, merytorycznej zawartości owianych dotąd mgiełką tajemnicy umów gospodarczych. W Sejmie i Senacie padają pytania o działalność nietykalnych dotąd służb, o wydatki na zbrojenia, o strukturę i liczebność poszczególnych resortów. Pewnie, że sprawy te należy doprowadzić do ostatecznego końca. Nie upoważnia to jednak społeczeństwa do biernego wyczekiwania. Nie ma już bowiem głębszej formuły „udemokratyczniania" państwa.

A zatem w narodzie winien się dziś tlić mocny, równy płomień entuzjazmu, z którego rychło buchnie ognisko, przy którym ogrzejemy się wszyscy, a po chwilowych niedogodnościach opiekania substytutowej kiełbasy baraniej już wkrótce cały piknik przemieni się w prawdziwe amerykańskie barbecue. Państwo jest gotowe.

A naród?

No właśnie. Największe niebezpieczeństwo dla rządu Tadeusza Mazowieckiego dostrzegam wcale nie w mnogości gospodarczych pułapek, czyhających na drodze do przezwyciężenia kryzysu, lecz w rozziewie między dynamiką zmian politycznych a statyką. — jeśli nie recesją — w świadomości polityczno-społecznej narodu. By odwołać się do modnej niedawno metafory medycznej, mamy obecnie w naszym „szpitalu" taką sytuację, że chirurg z pielęgniarkami już przygotował starannie pole operacyjne, a pacjent z uporem maniaka pcha co i rusz w oczyszczoną ranę brudne paluchy. Skrępować mu ręce niebezpiecznie i nieetycznie, a co gorsza za parawanem kłębią się koledzy gotowi w danym przypadku unicestwić samego chirurga, mimo przynależności do tego samego związku.

Dokończenie na str. 13

relacje
ZE ŚWIATA

■ Z okazji 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej prezydent Republiki Federalnej Niemiec, Richard von Weizsaecker, skierował orędzie do prezydenta Polski, Wojciecha Jaruzelskiego. Potwierdził w nim zachodnioniemieckie gwarancje zachodniej granicy Polski i zapewnił, że RFN nie zgłasza roszczeń terytorialnych wobec Polski. „Frankfurter Allgemeine Zeitung" podkreślił, że orędzie prezydenta jest jądrem przemówienia, jakie wygłosiłby on w Polsce, gdyby spełniło się jego pragnienie pojawienia się w Warszawie w dniu 1 września.

Również kanclerz RFN, Helmut Kohl, przemawiając w Bundestagu, potwierdził wolę rządu zachodnioniemieckiego dotrzymania zobowiązań układu z Polską z 1970 roku. Zapowiedział także swoją wizytę w PRL na jesieni tego roku. Wizyta kanclerza umożliwi późniejszy przyjazd do Polski prezydenta Weizsaeckera.

■ Przewodniczący zachodnioniemieckiej SPD, Hans-Jochen Vogel, przemawiając na forum socjaldemokratycznym w Bonn z okazji 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej, wypowiedział się stanowczo przeciwko wszelkim próbom stawiania pod znakiem zapytania powojennych granic w Europie.

■ „Radziecka nauka historyczna odrzuca dziś tezę, że II wojna światowa nawet dla krajów, które padły ofiarą agresji, stała się wojną sprawiedliwą dopiero z chwilą wciągnięcia do niej Związku Radzieckiego. Teorię tę wymyślono, aby usprawiedliwić błędy stalinowskiego kierownictwa, popełnione w przeddzień wojny i w jej początkowej fazie" — powiedział F. Kowaliow, szef służby archiwalnej radzieckiego MSZ.

■ „Proszę o rozpoczęcie postępowania karnego wobec obywatela Dżugaszwili Josifa Wissarionowicza vel Stalina i jego wspólników w związku z popełnieniem przez nich przestępstw przewidzianych w art. 102 Kodeksu Karnego Rosyjskiej SFRR (umyślne zabójstwo przy okolicznościach obciążających), art. 107 KK Rosyjskiej SFRR...". Tak zaczyna się list otwarty prof. Igora Bestużewa-Łady do prokuratora generalnego ZSRR, opublikowany w 35. numerze „Moskowskich Nowosti".

■ Prezydium KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji rozpatrzyło sprawozdanie o rozwoju gospodarki narodowej i realizacji planu państwowego CSRS za I półrocze 1989 roku. Stwierdzono — jak głosi komunikat — że mimo pewnych problemów i braków, w tym okresie w gospodarce zaczęły ujawniać się pewne zjawiska pozytywne. M. in. dochód narodowy wzrósł o ok. 2 proc., choć plan państwowy zakładał wzrost jedynie o 1,6 proc.

■ „Czechosłowacja, niegdyś jedno z najbardziej rozwiniętych państw Europy, zmieniła się w jeden z najbardziej zacofanych krajów kontynentu" (socjolog Milosz Zeman na łamach oficjalnego miesięcznika „Technicky Magazin").

■ Sąd w Hradec Kralove odrzucił odwołanie Frantiszka Starka i Ivy Vojtkowej, redaktorów opozycyjnego czasopisma „Vokno", od wyroku sądu w Usti nad Orlicą. Oboje zostali uznani winnymi podżegania. Starek otrzymał dwa i pół roku więzienia, Vojtkowa rok z zawieszeniem na dwa lata.

■ Członek Stałego Komitetu Biura Politycznego KC KPCh, Li Ruihuan, oświadczył, że walka z pornografią jest częścią walki z burżuazyjną liberalizacją.

■ W Mołdawii strajkowało ponad 80 tysięcy pracowników pochodzenia nierumuńskiego. Protestowali przeciwko uznaniu rumuńskiego za jedyny język urzędowy. Na marginesie tej informacji komunikujemy, że Telewizja Polska wciągnęła na światową listę nowy język: MOŁDAWSKI. Przypuszczamy, że jest to język równie powszechny jak: brazylijski, amerykański, radziecki czy też belgijski.

■ Władze chińskie zwróciły się do włoskich linii lotniczych, by trasa przelotu samolotu papieża Jana Pawła II, mającego udać się do Korei Płd., nie prowadziła nad terytorium chińskim. Jak sugerują agencje, istnieje obawa Pekinu, by przelatując nad Chinami papież w zwyczajowej depeszy nie skrytykował łamania praw człowieka w tym kraju.

■ W wypadku samochodowym w Stanach Zjednoczonych zginął jeden z najlepszych graczy w historii polskiego piłkarstwa — Kazimierz Deyna.

■ W Kolumbii trwa regularna wojna między siłami rządowymi a zbrojnymi oddziałami kokainowej mafii. Rząd USA, gdzie trafia większość kolumbijskich narkotyków, udzielił rządowi w Bogocie wielomilionowej pomocy w sprzęcie do walki z terroryzmem i mafią. Do Kolumbii przybyli już amerykańscy specjaliści wojskowi i policyjni.

relacje
Z KRAJU

■ W 50. rocznicę napaści Niemiec na Polskę odbyła się przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie uroczysta zmiana wart. Uczestniczyli prezydent Jaruzelski, premier Mazowiecki oraz członkowie korpusu dyplomatycznego, przedstawiciele Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej. Zmieniono ceremoniał uroczystości. Do apelu poległych stanęli tym razem również obrońcy Grodna, Lidy, Lwowa, ofiary Katynia i Workuty, żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza.

■ Z okazji wybuchu II wojny światowej przybyli do Warszawy duchowni wszystkich religii świata. Wzięli udział w Światowym Dniu Modlitwy o Pokój, którego inicjatorem był prymas Polski, ksiądz kardynał Józef Glemp.

■ Premier Tadeusz Mazowiecki wystąpił przed kamerami TV, wyjaśniając powody przedłużania się konsultacji w sprawie nowego gabinetu.

■ Marian Orzechowski i Mieczysław F. Rakowski pozytywnie ocenili wyniki rozmów z premierem Mazowieckim. I sekretarz KC PZPR stwierdził, że zaproponowano partii więcej niż dwie teki ministerialne, choć nie podał bliższych szczegółów. M. F. Rakowski określił T. Mazowieckiego jako „realistę".

■ „Zaraz po uformowaniu się nowego rządu spodziewam się dymisji z funkcji prezesa" — oświadczył Jerzy Urban na uroczystości odznaczenia pracowników Radiokomitetu. Minister Urban nie poinformował, jakie są jego dalsze plany.

■ Lech Wałęsa w wywiadzie dla „Sueddeutsche Zeitung" określił jako nonsensowne rozważania na temat wystąpienia Polski z Układu Warszawskiego.

■ Adam Michnik, naczelny redaktor „Gazety Wyborczej", został przyjęty przez premiera Francji, Michela Rocarda, w Pałacu Matignon. Rozmowa trwała trzy godziny.

■ Do Polski przybył po raz pierwszy od czasu swoich okupacyjnych misji „Kurier z Warszawy" — Jan Nowak-Jeziorański, wieloletni dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. W czasie wojny Nowak-Jeziorański był głównym kurierem między okupowanym krajem a Londynem. „Przyjeżdżam na zaproszenie Lecha Wałęsy i Komitetu Obywatelskiego — powiedział na lotnisku — ale moja obecność będzie świadectwem i symbolem tego, że Solidarność obaliła bariery, które nie pozwalały mi wrócić".

■ Ambasadorem nadzwyczajnym i pełnomocnym PRL przy Stolicy Apostolskiej został Jerzy Kuberski, a papież Jan Paweł II mianował nuncjuszem apostolskim w Polsce księdza prałata Józefa Kowalczyka.

■ Z wywiadu Mariana Orzechowskiego dla „Trybuny Ludu":

— „Kolejny zarzut: partyjnym posłom brak ofensywności, waleczności, co widać było zwłaszcza przy napastliwych interpelacjach posłów z OKP wobec MSW.

— A co — mamy tak jak Chruszczow w ONZ walić butem w pulpit i krzyczeć, że protestujemy. Parlament to nie targowisko ani teatr, choć aktorskie gesty potrafią okrasić niejedno poselskie wystąpienie".

■ Posłowie OKP na pytanie „Gazety Wyborczej" — czy są za moratorium strajkowym:

Grażyna Staniszewska (Podbeskidzie) — „To byłby bardzo niebezpieczny krok. Strajk jest podstawową bronią związku zawodowego".

Zbigniew Janas (Ursus): — „Tak. Trzeba załatwiać sprawy przez negocjacje".

■ Kilka myśli przewodniczącego Śląsko-Dąbrowskiego RKW „Solidarność", z reportażu Michała Mońki „Strajk mnie wyniósł" z sierpniowego „Reportera":

„Z Lechem jestem za pan brat. No a Lechu z prezydentami, z królami gada. Nawet u jednego cesarza był — czy nie u Japończyka?".

„Kiwnę palcem — a kopalnia staje. Kiwnę ręką — staje sześć kopalń. Mam moc, mam władzę".

„Niektórzy piszą o górnictwie, o Śląsku, bez żadnego upoważnienia. Nawet nie pytają mnie o zgodę".

„Gdybym chciał, mógłbym nie wychodzić z Rady Ministrów, z ambasad. Owszem, dają tam dobrze jeść, nawet wypić. No i ludzie z pierwszych stron gazet, z telewizji — o, tak, na wyciągnięcie ręki. Przykładowo z Taczerką rozmawiałem jak ze swoją starą. Tylko, że moja zawsze mnie rozumie, a Taczerka niczego nie rozumiała. U nich, w Anglii, nie uczą polskiego".

W ZWIĄZKU Z HOMILIĄ J. GLEMPA

26 sierpnia prymas Polski kardynał Józef Glemp wygłosił na Jasnej Górze homilię poświęconą w części stosunkom polsko-żydowskim. Oto fragmenty tej homilii:

„Życie jednak nie lubi schematów i relacje między ludźmi układa inaczej niż w kategoriach: przyjaciel — wróg. U nas dotyczy to szczególnie narodu żydowskiego, który nigdy nie był sąsiadem, ale domownikiem, a który swoją innością i ubogacał, i sprawiał kłopot. Dla wielu Żydów Polska była Ojczyzną nie tylko z racji obywatelstwa, ale z racji autentycznej miłości. [...]. Aby zrozumieć złożoność i przenikanie się problemów polsko-żydowskich, postawmy sobie pytanie: czy były w Polsce niechęci i gwantury przeciw Żydom? — Były. Czy byli w Polsce Żydzi - przedsiębiorcy, którzy lekceważyli i pogardzali Polakami? — Byli. Czy byli podczas okupacji wśród Żydów kolaboranci, którzy nie doceniali do bohaterskich obrońców Getta? — Byli. Czy były w Polsce okresy przemilczenia cierpień i ofiar Żydów? — Były. Czy byli Polacy, którzy ratowanie Żydów przypłacili swoim życiem? — Byli. Wspomnienie 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej stawia nas po tej samej stronie barykady, po stronie wyniszczenia i śmierci.

[...] Mamy swoje winy wobec Żydów, ale dziś chciałoby się powiedzieć — kochani Żydzi, nie rozmawiajcie z nami z pozycji narodu wyniesionego ponad wszystkie inne i nie stawiajcie nam warunków niemożliwych do wypełnienia.

Siostry karmelitanki mieszkające obok obozu w Oświęcimiu chciały i chcą być znakiem tej ludzkiej solidarności, która obejmuje żywych i umarłych. Czy szanowni Żydzi nie widzicie, że wystąpienie przeciw nim naruszył uczucia wszystkich Polaków, naszą suwerenność z takim trudem zdobywaną. Waszą potęgą są środki społecznego przekazu, łatwo dyspozycyjne w wielu krajach. Niech one nie służą do rozniecania antypolonizmu. Niedawno oddział siedmiu Żydów z Nowego Jorku dokonał napaści na klasztor w Oświęcimiu. Wprawdzie nie doszło do zabójstwa sióstr lub zniszczenia klasztoru, bo zostali powstrzymani, ale nie nazywajcie napastników bohaterami.

Zachowajmy płaszczyznę cywilizacji, w której żyjemy. Umiejmy rozróżnić niektóre sprawy uproszczone i pomieszane.

Odróżnijmy Oświęcim — Auschwitz, gdzie ginęli przeważnie Polacy i inne narody, od odległej o kilka kilometrów Brzezinki — Birkenau, gdzie ginęli przeważnie Żydzi. Odróżnijmy następnie płaszczyznę cywilną od płaszczyzny teologicznej. Niech nowa doktryna na temat obecności lub nieobecności Boga w miejscu ofiary, uzasadniona i zrozumiała dla wszystkich ludzi wierzących w Boga, nie będzie narzędziem politycznym w ręku grupy ludzi, zwłaszcza niewierzącej.

[...] Dlaczego wybuchła nagle [sprawa klasztoru karmelitanek — przyp. red.] dopiero w czterdzieści lat po wygaszeniu pieców krematoryjnych? Te pytania dręczą bardzo wielu, gdy mówimy o pokoju, który ma niweczyć skutki wojny. Chciałbym w pokorze i w pragnieniu jednania poruszyć ten temat. Skoro tyle spraw jest nabrzmiałych, to potrzebny jest dialog. Dialog systematycznego wyjaśniania rzeczy trudnych, a nie przedkładania żądań.

[...] My, którzy czcimy Maryję z Nazaretu i mamy z Wami, Żydami, wiele miejsc wspólnie czczonych jako święte, rozpocznijmy dialog w szczerości i prawdzie. Jeśli nie będzie antypolonizmu, nie będzie u nas także antysemityzmu. Życzymy Wam, aby na świętej Ziemi Palestyńskiej nikt nie obrzucał Was kamieniami, aby tam wyciszyły się odgłosy strzałów, aby nikt nie ginął od kuli karabinu, aby pokój — szalom był tam, gdzie Wy jesteście!"

☆

Homilia księdza prymasa spotkała się z ostrą krytyką w prasie wielu krajów zachodnich, przede wszystkim jednak w dziennikach francuskich z komunistyczną „Humanite" na czele. Pisano o polskim antysemityzmie, obskurantyzmie, fanatyzmie religijnym i nacjonalizmie. „Karmel oświęcimski" — jak się ironicznie określa we francuskiej prasie sprawę konfliktu wokół klasztoru karmelitanek — ma rzekomo być oznaką nowej fali przyboju polskiej ksenofobii i szowinizmu. Nawet poważny zwykle paryski „Le Mond" pozwolił sobie na jarmarczny popis z rysunkiem na pierwszej stronie. Przedstawia on obóz koncentracyjny w Oświęcimiu, gdzie z jednej z wież strażniczych wychyla się siostra zakonna — zapewne karmelitanka — wołając do prymasa Glempa, bujającego się w hamaku zawieszonym między dwiema strażniczymi wieżami: „Cóż tam nowego?" Prymas czytający gazetę odpowiada jej: „O, nic takiego, to tylko te Żydki mają do nas znowu pretensje". Prawda, że bardzo śmieszne?

Ton wypowiedzi prasy francuskiej nawet mnie specjalnie nie dziwi, środowiska żydowskie miały tam i mają silne wpływy. A i Francuzom jest to poniekąd na rękę: zawsze to wygodniej pisać o Polakach-antysemitach, niż przypominać z okazji wybuchu wojny o zbrodniach rządu Vichy wobec Żydów, o wykreowaniu Daladiera po Monachium na męża opatrznościowego Europy, czy też wstydzić się za własną prasę, która wrzeszczała, że nie będzie się umierać za Gdański i głupich Polaków. Bo przecież z faktu, że we Francji urodził się niejaki Gobineau — twórca podstaw nowoczesnego rasizmu — nie wynika broń Boże, że Francuzi są rasistami. W każdym razie w Polsce nikt tak nie myśli...

Pewne zdziwienie budzi natomiast fakt, że na łamach „Gazety Wyborczej" ubolewa nad wystąpieniem prymasa znany działacz katolicki Krzysztof Śliwiński który wysłuchał słów jego homilii z „żalem i bólem". Pisze on m. in.: „Bez względu na to, jak to dla nas trudne i jak niesprawiedliwie czujemy się sądzeni przez tych, którzy mają coś przeciwko nam: najpierw idź i pojednaj się". Widać dużo dalej jestem od ołtarza jak K. Śliwiński, bo słowa prymasa odczytałem dokładnie jako przesłanie chrześcijańskiego pojednania się, zachętę do wzajemnego wybaczenia i zapomnienia urazów i win. Wzajemnego — taki jest chyba nie tylko chrześcijański sens pojednania. Naród polski, tak ciężko doświadczony, upokarzany i poniżany, czyż nie ma prawa powstać z obu kolan i nie chylić kornie głowy wobec wszystkich i wszystkiego? Wzajemność... A może się mylę? W takim razie na pewno jestem antysemitą

Leszek Wiśniewski

DLA PRZYSZŁOŚCI

Rozmowa z ministrem religii Izraela Zevulunem Hammerem

— Panie ministrze, wizyta, którą składa pan w Polsce, jest pierwszą oficjalną wizytą członka rządu izraelskiego od czasu zerwania stosunków przed 22 laty. Czy ten kolejny pozytywny krok na drodze do normalizacji i normalności może oznaczać, że znajdujemy się w przededniu ustanowienia stosunków w pełnym wymiarze?

— Mam nadzieję, że — tak. Tak uważają i mówią wszyscy, z którymi się w Polsce spotykam. Zerwanie stosunków z naszym krajem oceniane jest obecnie jako niedobre, a wola powrotu do poprzedniego status quo — widoczna. Byłby to powrót nie tylko do normalnych stosunków dyplomatycznych na poziomie ambasad, ale także do tego, co było na przestrzeni setek lat: do normalnych, dobrych stosunków między Polakami i Żydami. Tak to widzę.

— Czy podzieliłby pan opinię, że wizyta w czasie obchodów 50 rocznicy wybuchu II wojny światowej i holocaustu ma swoją szczególną symbolikę?

— To, że jestem w Polsce akurat w tym okresie, na pewno wiąże się z historią. W podwójnym sensie. Po pierwsze, z tysiącletnią historią Żydów na tej ziemi. Po drugie, ze strasznym okresem holocaustu, kiedy hitlerowcy wymordowali przytłaczającą większość Żydów polskich i znaczną część narodu żydowskiego w ogóle. W cieniu tych dwóch wydarzeń naprawienie i unormowanie stosunków Polski i Izraela oraz Polaków i Żydów jest niezmiernie ważne. Istnieje związek między tym, co się wydarzyło w Oświęcimiu i Majdanku, a budową państwa izraelskiego. Świat zrozumiał, że naród tak ciężko doświadczany jak nasz powinien mieć wreszcie swoje państwo, bo tylko ono może stanowić gwarancję obrony interesów narodu i jego bezpieczeństwa. Polska była jednym z kilku pierwszych państw, które uznały Izrael, i udzieliła poparcia w przyjęciu go do społeczności ONZ. Pamiętamy o tym dobrze, bo był to gest solidarności narodów, które tak wiele wycierpiały w horrorze wojny. Związki te w sposób oczywisty i naturalny powinny prowadzić do dobrych między nami stosunków.

— Panie ministrze, nie da się chyba oddalić i takiej refleksji, iż stan stosunków polsko-żydowskich jest zależny także od dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, w którego przebieg zaangażował się aktywnie papież Jan Paweł II...

— Podzielam ten pogląd. Wiem, że Polska jest krajem katolickim i religijnym. Wpływ religii na naród i rozwój sytuacji w Polsce jest bardzo wyraźny. Nie można więc od tego abstrahować czy też nie przykładać do tego należytej wagi. Podobnie — jak myślę — nie można odrywać historii, tradycji i obecnej rzeczywistości żydowskiej od naszej religii. Dlatego dialog, o którym pan wspomina, ma trudne do przecenienia znaczenia i powinien się toczyć. Ważny jest w nim szczególnie problem cierpliwości, zrozumienia, zbliżania stanowisk, co może prowadzić do współpracy obu naszych religii. Dialog tych właśnie dwóch religii uważam za szczególnie ważny, bowiem w przeszłości stosunki te były obciążone wieloma uprzedzeniami i nieporozumieniami, jak powiedzmy obciążaniem Żydów odpowiedzialnością za śmierć Jezusa.

— Czy emocje wokół klasztoru karmelitanek w obozie oświęcimskim nie stanowią zagrożenia dla tego dialogu?

— Mimo wszystko uważam, że dialog i wola wzajemnego zrozumienia zwyciężą. Spór toczy się w różnych płaszczyznach przy czym zasadnicze różnice mają podłoże religijne. My, Żydzi, uważamy — jak nam nakazuje religia — że zmarłym Żydom potrzebna jest cisza. Modlitwa na terenie obozu przeszkadza tej ciszy. Przeszkadza zatem także stała obecność zakonnic. Jednocześnie rozumiemy jednak, że prawo do modlitwy ma każdy. Nie uzurpujemy sobie żadnych specjalnych praw do Oświęcimia i nie chcemy nic siłą narzucać. Trzeba jednak rozumieć, że dla Żydów Oświęcim jest największym cmentarzem naszego narodu, że jest to równocześnie miejsce największej kaźni Żydów. My tego cierpienia nie stawiamy ponad żadnym innym cierpieniem oświęcimskim, ale oczekujemy zrozumienia. Nie deprecjonujemy więc czyjejkolwiek modlitwy, ale pytamy: czy właśnie w tym miejscu, czy nie może się to odbywać gdzie indziej?

Pozostaję w nadziei, że znajdzie się rozwiązanie tej kwestii w duchu nienaruszania zasad żadnej religii. W tym duchu prowadziłem rozmowy z kardynałem Franciszkiem Macharskim, z którym spotkałem się w Krakowie.

— Jaki był cel pańskiej wizyty w Lublinie?

— Przyjechałem, aby odwiedzić to miasto z dwóch powodów. Stanowiło ono ważne centrum życia Żydów polskich przez kilkaset lat i zasłynęło w świecie wieloma wybitnymi postaciami. Również tu, opodal miasta, w obozie na Majdanku dokonywały się zbrodnie hitlerowskie i dokonywał holocaust. Wiem także, że Lublin zajmuje od wielu lat ważne miejsce w historii narodu polskiego. Równocześnie przez stulecia Lublin był przykładem harmonijnego współżycia Polaków i Żydów, ich koegzystencji.

Odwiedziłem zatem Majdanek, gdzie pokłoniłem się prochom pomordowanych i złożyłem wieniec, byłem na słynnym cmentarzu żydowskim, na Grodzisku, gdzie spoczywają prochy wybitnych filozofów, talmudystów, rabinów, intelektualistów, a także na cmentarzu przy ulicy Walecznych, który jest właśnie poddawany renowacji i na którym wznoszona jest synagoga. Zwiedziłem również budynek słynnej uczelni talmudycznej, Jeszibot Chachmej Lublin, założonej przez Meira Szapiro. Z władzami Lublina rozmawialiśmy o możliwościach utrwalania i odtwarzania historii Żydów-lublinian.

— Nie jest tajemnicą, że z naszym regionem jest pan związany swymi korzeniami rodzinnymi. Czy to był także jeden z motywów wizyty?

— Będąc w Polsce, nie mogłem nie odwiedzić moich stron rodzinnych. Dziadkowie i rodzice urodzili się w Tyszowcach. Także ich przodkowie pochodzili z Tyszowiec i Zamościa. Moja rodzina wyjechała do Palestyny przed wojną i ja już tam się urodziłem. Wychowałem się jednak na kulturze i tradycji Żydów polskich, a więc kulturze polskiej i żydowskiej. Przybyłem, żeby lepiej poznać korzenie, zobaczyć, gdzie żyli dziadkowie i rodzice. Pod jakim niebem. Był to rodzaj długu, jaki musiałem spłacić swojej historii własnej, a także jej pogłębienie, lepsze poznanie. W Tyszowcach widziałem miejsce, w którym stał nasz dom rodzinny. Pokazali mi je Żydzi, którzy kiedyś mieszkali w Tyszowcach, a przebywali akurat tam z okazji odsłonięcia pomnika upamiętniającego żydowskich mieszkańców tej miejscowości. Byłem także w Bełżcu, gdzie wymordowano większość mojej rodziny i krewnych, którzy nie zdążyli na czas wyemigrować przed agresją hitlerowską. Gdyby moi najbliżsi nie wyjechali w 1933 roku, zapewne spotkałby ich ten sam los. Przybyłem zatem, aby uczcić pamięć moich bliskich i naturalnie wszystkich, którzy w Bełżcu zginęli.

Jeżeli można pozwolić sobie na ton bardziej osobisty, chciałbym powiedzieć, że ta podróż dostarczyła mi niezapomnianych przeżyć, emocji i wzruszeń.

— Czy również w planie oficjalnym wizyta była równie owocna i inspirowana?

— Kulminację mojego pobytu w Polsce stanowiła wizyta u ministra stanu Józefa Czyrka, nie jest także tajemnicą, że przywiozłem list od premiera Icchaka Szamira do prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Wyrażam satysfakcję, iż mogę uczestniczyć, poprzez swoją wizytę w Polsce, w budowaniu i pogłębianiu zrozumienia i przyjaźni obu naszych narodów. Wartości opartych na wielowiekowych tradycjach wspólnego życia Polaków i Żydów na tych ziemiach. Ta ziemia jest, z jednej strony, ziemią, na której przez wieki nasze narody działały i tworzyły, ale z drugiej — ziemią, na której przez kilka lat zbrodniarze hitlerowscy zgładzili zdecydowana większość jej żydowskich mieszkańców za sam fakt pochodzenia. Chciałbym spróbować zarówno przyczynić się do odbudowania tych starych, tradycyjnych więzów, jak i do uwiecznienia tego, co się tu stało.

— Nie można, jak sądzę, nie dostrzegać pańskiej wizyty także w kontekście obecności w Polsce piętnastotysięcznej mniejszości żydowskiej.

— Oczywiście moja wizyta adresowana jest także do żyjących, a nie tylko do grobów. Jestem ministrem religii i już choćby z tego powodu spoczywa na mnie obowiązek dopomożenia żyjącym w Polsce Żydom w kultywowaniu ich religii i tradycji na niej wspartej. Faktem pozytywnie do tego wiodącym jest obecność po wielu latach przerwy naczelnego rabina Polski Menachema Joskowicza, który od kilku miesięcy wypełnia normalne obowiązki religijne w Warszawie. Również rozmowy w Urzędzie do Spraw Wyznań dobrze służyły tym celom.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

ENTIFADA

Wiesław Horabik

Świat wokół nas

W GRUDNIOWY poranek 1987 roku kończyła się właśnie msza w jerozolimskim meczecie Skały, kiedy nagle kilkuset młodych Arabów wyskoczyło na ulicę krzycząc „Allach Akhbar" (Bóg jest wielki). Stojąca w pobliżu grupka żydowskich policjantów zareagowała gwałtownie. Pałkami próbowała powstrzymać formujący się pochód. Wezwano posiłki, użyto gazów łzawiących. Teraz młodzi Arabowie zaczęli wznosić okrzyki antyizraelskie. Na policjantów posypał się grad kamieni. Siedemdziesięciu demonstrantów i kilkunastu policjantów zostało rannych. Incydent padł na podatny grunt, był ostatnią kroplą przepełniającą kielich. Rozpoczęła się Entifada — palestyńskie powstanie. Okupowany Zachodni Brzeg Jordanu i obszar Gazy podzielone zostały na strefy wojny.

Od czterdziestu lat izraelski sen o spokojnym skrawku własnej ziemi napotyka palestyński opór, przeradzając się z wolna w kryzys tożsamości. Nie dzieje się tak bez powodu. Funkcjonuje tu bowiem rodzaj przewrotnego paradoksu. Ten paradoks wypływa z jednej strony z faktu, iż każdy naród winien mieć prawo do własnego państwa (także Palestyńczycy), z drugiej zaś z oczywistości, że na przeszkodzie w realizacji tego celu stoi państwo wyrosłe dokładnie z tej samej prawdy.

Na początku image Izraela układał się w oczach świata w fascynującą wizję. Oto duch, milcząco i niemal biernie idący w otchłań holocaustu, nagle się odrodził; ukazał światu nowe oblicze. Wspaniali chłopcy i wspaniałe dziewczyny z bronią w ręku wyrąbywali sobie drogę do własnego miejsca na ziemi. Najwyższej marki bohaterstwo i żołnierska sprawność budziły podziw. Bezdomny, rozproszony w diasporze lud napotykał szczęśliwy kres swej tragicznej dotąd drogi. Lecz kiedy nadeszło zwycięstwo, zadziałał raz jeszcze chochlik mącący żydowski los. Okupowani stali się okupantami, prześladowani — agresorami, głosiciele pokoju — policjantami regionu. Nawet Stany Zjednoczone, bezkrytyczny dotąd sojusznik Izraela, musiały powstrzymać się od veta na stosownym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Bojownicy Entifady to ludzie nowego pokroju; inni od tych, którzy przez dwadzieścia lat izraelskiej kontroli nad okupowanymi ziemiami przyczyniali administracji okazjonalnych kłopotów. Entifadę napędza teraz islamski fanatyzm na równi z palestyńskim nacjonalizmem. Powstańcy to młodzi, biedni ludzie nie mający nic do stracenia. Niemal codziennie telewizja całego świata pokazuje żołnierzy strzelających ostrą amunicją do rzucających kamieniami niedorostków, bądź żołnierzy przemierzających w opancerzonych wehikułach ulice czarne od dymu z palących się drzew. Czasami widać na ekranie obrazy niesprowokowanego gniewu, bezmyślnej brutalności, sceny kopania bezbronnych więźniów i szarpania bezwolnych kobiet. Do dziś — według międzynarodowych szacunków — żołnierze izraelscy zabili około stu demonstrantów, zranili ponad sześciuset i aresztowali ponad trzy tysiące podejrzanych.

Entifada nie ma znanych z nazwiska przywódców, nie stawia też żadnych, jasno sprecyzowanych postulatów politycznych. Nosi cechy powstania powszechnego, którego jedynym celem jest odzyskanie utraconych ziem. Pod okupacją Palestyńczycy są bowiem dyskryminowani. W Gazie, na przykład, 40 proc. ziemi uprawnej wydzielono jako „państwową własność" do ewentualnego użytkowania przez izraelskich osadników; palestyńskim rybakom wolno łowić jedynie w odległości pięciu mil od brzegu, a to, co złowią, nie może być sprzedawane w Izraelu ze względu na „ochronę interesów rybaków żydowskich". Podobne restrykcje odnoszą się do sadowników. Jak podają źródła zachodnie, miesięczny dochód per capita na jednego mieszkańca wynosi w Gazie 900 dolarów, podczas gdy na Zachodnim Brzegu, 1100, a w samym Izraelu około 5000.

Konflikt izraelsko-palestyński zaczął się jeszcze w czasie sprawowania mandatu nad Palestyną przez Brytyjczyków. Początkowo zatarg miał charakter międzyetniczny. Od 1948 roku przerodził się w konflikt międzypaństwowy. De facto jest jednak Entifada deklaracją izraelsko-palestyńskiej wojny domowej. Po nastrojach pojednawczych z okresu Camp David nie pozostało ani śladu. Credo tej wojny zamyka się we wzajemnym kwestionowaniu legitymizacji. Właśnie ten fakt wyjaśnia gwałtowność tej konfrontacji; strach i niepewność, gniew i niecierpliwość, akty gwałtu, lecz nade wszystko izraelską determinację w utrzymaniu status quo. Najmniejsze jego zachwianie mogłoby stać się precedensem, początkiem demontażu państwa, aktywizacją dalszych roszczeń. Rozumieją to dobrze politycy izraelscy. Dlatego Izrael odrzuca wszelkie próby mediacji politycznej. Jego przewaga militarna w tym konflikcie jest niekwestionowana. A jednak Entifada trwa i potężnieje. Jej młodzi bojownicy, ubezpieczeni w labiryntach wąskich uliczek starego Nablusu i w zakamarkach opuszczonych domów, działają z zaskoczenia i często skutecznie. Od butelek z benzyną zapalają się wojskowe jeepy, giną żołnierze, policjanci i żydowscy osadnicy. Tym ostatnim trudno już nawet bez eskorty opuszczać dom, by dokonać niezbędnych zakupów. Wbrew pozorom, Entifada jest trudna do przytłumienia.

Tymczasem fizyczne bezpieczeństwo Izraela nie wydaje się zagrożone, a jednak fakt pozostaje faktem, że utrzymywanie okupowanych terenów czyni z Izraela państwo dwunarodowe, w którym jedna czwarta mieszkańców to nie-Żydzi. Na Zachodnim Brzegu i w strefie Gazy Palestyńczycy już wkrótce stanowić będą większość. Nigdy nie zaprzestaną oni podtrzymywania tlącego się płomienia Entifady. Pracując dla okupanta, pozbawieni własnego państwa, spauperyzowani, bezrolni, w swym codziennym marszu do pracy mijają swoje zrujnowane wioski i spustoszone pola.

Izraelsko-palestyński konflikt sprowadza się ponadto do jednego fundamentalnego pytania: czy państwo, które głosi demokratyczne ideały, może za pomocą siły sprawować rządy nad innym narodem?

Pytanie to powinno być nieobce wielu izraelskim rodzinom.

Yehoszafat Harkabi, były szef izraelskiego wywiadu wojskowego, powiedział kiedyś amerykańskiemu dziennikarzowi: „Ludzie pytają mnie, jak wielkim chciałbym widzieć Izrael. Odpowiadam im: «Od Paryża do New Delhi». A oni na to: «To chyba zbyt wiele». Więc ich pytam: «Dobrze, porozmawiajmy realistycznie. Jaki więc Izrael byłby dostatecznie wielki?»".

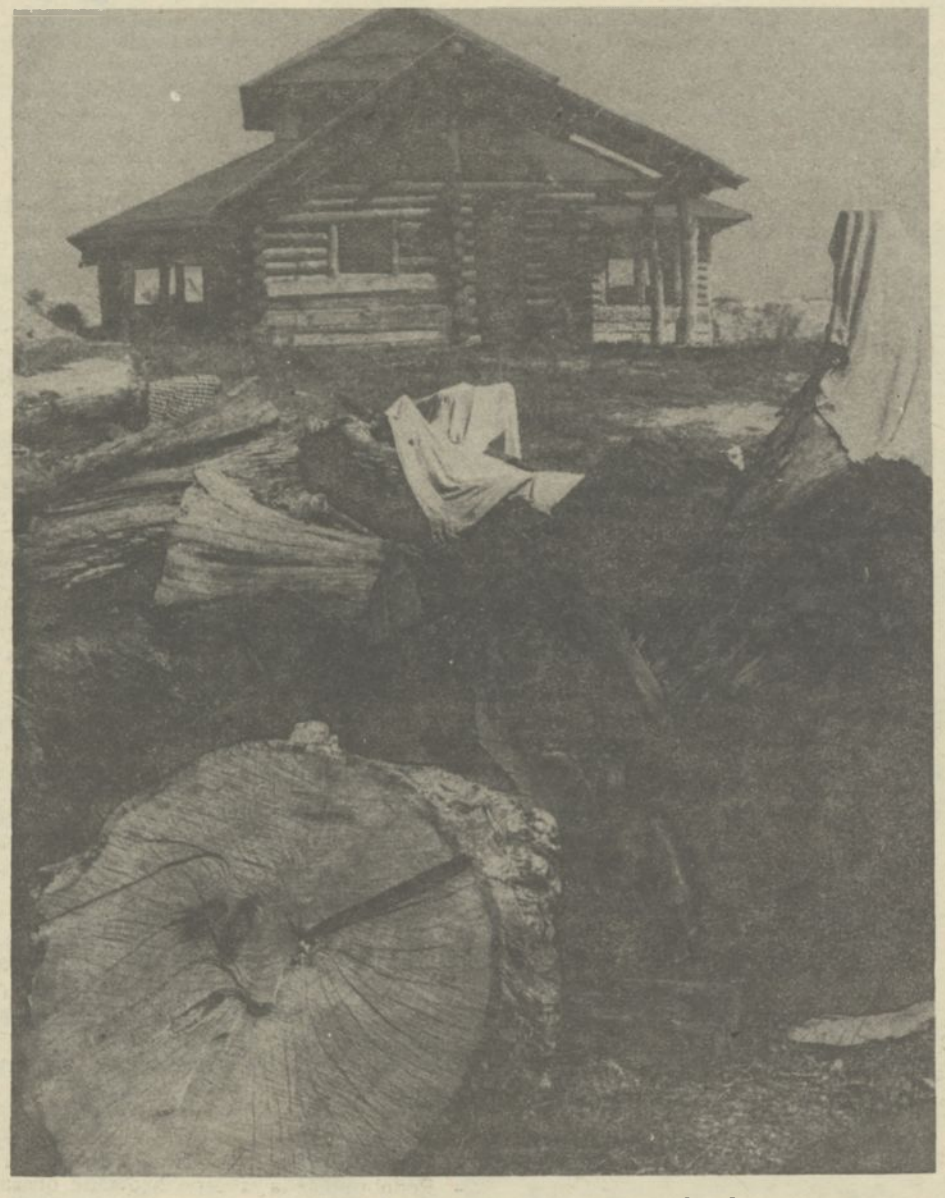

Najokazalsza budowla

ZIEMIA

Henryk Pająk

JAK zawsze tam, gdzie rację zdają się mieć obie zwaśnione strony, sięgnąć należy do zarania konfliktu.

Rzecz dotyczy losów tak zwanej osady ekologicznej, założonej przed kilku laty w Dąbrówce, piaszczystej wioszczynie, położonej w gminie Kamionka za Lubartowem, przez grupę przybyłych „z Polski" entuzjastów czystej wody i powietrza, nie skażonej ziemi i pożywienia. Wszystkich najwyraźniej łączy coś jeszcze — dająca się łatwo dostrzec w sposobie ich życia i bycia kultura osobista, wrażliwość na postawy etyczne i humanizm. To naprawdę nietuzinkowi ludzie.

Jednym z pierwszych był Leszek, absolwent SGGW. Przed 10 laty nabył od miejscowego rolnika zaniedbane gospodarstwo o powierzchni ośmiu hektarów nieurodzajnych piasków w sąsiedniej wsi Wólka Kraśnieńska. Młody inteligent, wspomagany przez żonę, założył modną wówczas hodowlę owiec. Hodowla jednak dość szybko podupadła: owce po prostu chciały jeść, wymagały starannej opieki, a ziemia — ciężkiej pracy. Obecnie Leszek W. mieszka tam nadal, ma konia, lecz utrzymuje się z jubilerki w srebrze. Można zatem uznać, że choć nie zdał życiowego egzaminu jako hodowca owiec, to obronił swoje przywiązanie do ziemi i przyrody.

Z upływem czasu, nie zrażeni wynikami hodowlanymi kolegi, nadciągali w te okolice następni entuzjaści nie skażonej przyrody, uciekinierzy z miast, zrażeni do cywilizacyjnego blichtru i zgiełku. Ciągnęli tu z rodzinami, żonami i dziećmi. Marzyło im się osiedlenie na stałe, związanie z tą okolicą na dobre i złe. Prawie wszyscy z wyższym wykształceniem, w tym również artystycznym (rzeźba). Upatrzyli sobie prześliczny zakątek w Dąbrówce. Za wsią, na wzgórku, z niemal dookolnym widokiem na piękny masyw lasów kozłowieckich, ze strumykiem leniwie i niemal u stóp sączącym się środkiem bagnistej depresji, pełnej olch, osiki, dębu, sosny, wikliny, ptactwa, dzików oraz niezliczonych eskadr kąśliwych komarów. W tym drugim rzucie artystycznego osadnictwa energicznymi staraniami wyróżniał się przybierający żartobliwe pseudonimy: Jan bez Ziemi lub Jan z Osady.

W sumie uzbierało się osób kilkanaście, a to m. in.: Nicole i Słoma, Ewa i Paweł, Agata i Andrzej, Jagoda i Wojciech, Ewa i Tomasz, Beata i Wojciech, Iwona i Piotr, Katarzyna i Tomasz i, rzecz jasna, Jan z Osady oraz Leszek.

Zanim ich ostateczny wybór padł na Dąbrówkę, a w ogóle na ten zakątek Lubelszczyzny, szukali upragnionego azylu cywilizacyjnego na Łemkowszczyźnie i Kurpiach. Ale Łemkowie ich wyraźnie nie chcieli zaakceptować. Podobnie hermetyczni okazali się Kaszubi. Mieszkańcy Dąbrówki, Wólki i okolic — owszem, przyjęli ich, ale tak sobie. Z niedowierzaniem, zaciekawieniem, z półuśmieszkami. Kandydaci na rolników byli szczupli, długopalczaści, długowłosi i długobrodzi, choć te zewnętrzne przymioty wcale przecież człowieka nie dyskwalifikują w jego ochocie do pracy na roli. Byli spokojni, zgodni. Ale z czasem zaczęli ściągać za nimi przeróżni wędrowcy, trubadurzy z gitarami i bez, wagabundy, znajomki z czasów studenckich, etc. U rolnika ktoś nocą wyciął mak z wyraźnym w takich przypadkach przeznaczeniem na „kompot".

Winą za ten i inne wybryki oczywiście obarczano „zielonych". Ci natomiast niczego tak bardzo nie pragnęli, jak zgodnego współżycia z własną wsią. Po tym incydencie osadnicy wykurzyli precz narkomana.

Przyglądający się ekologom urząd gminy nabrał do nich przekonania, toteż przyznał im dwustumetrowy pas nieużytków, ciągnący się wzdłuż wspomnianej bagnistej dolinki nad rzeczką, położony na wzgórku. Trzeba przyznać, że ekolodzy — jak ich tu powszechnie się już nazywa — zaczęli osiedlać się z całym pietyzmem dla natury i najbliższego otoczenia. Żadnych cegieł, pustaków, dacz, willi. Zresztą wyraźnie ich na takie rzeczy nie stać. Postawili kilka szałasów, namiot indiański, przenieśli w to miejsce starą chałupę kupioną od chłopa, sklecili kilka altanek. Najokazalszą budowlą jest na razie, na pół zagłębiony w ziemię, ośmiokątny domek z surowych półbali, uszczelniony gliną. Całość wyraźnie stylizowana na angielski fort z pierwszej połowy dziewiętnastego stulecia i podbojów Ameryki. W środku budowli można dostrzec łukowate sklepienie z cegieł (a jednak), lecz właściciel na razie wzbrania dostępu do środka, tłumacząc się budowlanym rozgardiaszem.

Pas nabrzeżnych oczeretów, dających osłonę i ochłodę osadzie, przylega w części do pola o powierzchni 10 ha, uprawianego przez Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną z Woli Przybysławskiej. Spółdzielnia jednak zrzekła się pola, motywując to nieopłacalnością uprawy. Z tego, co na tych piaskach wyrasta, niewiele trafia do właściciela bowiem z reguły zbuchtują to watahy dzików.

W tej sytuacji osadnicy zgłosili w gminie chęć przejęcia pola w użytkowanie rolnicze. Tym odważnym okazał się Jan z Osady. Postanowił uprawiać te 10 ha w sposób ekologiczny, to znaczy bez użycia nawozów, oprysków i tym podobnych trucizn. Plon będzie mizerny jak przedtem, ale przynajmniej zdrowy.

Zarówno władze spółdzielni rolniczej, jak też naczelnik gminy nie mieli przeciwwskazań, aby niechciane pole przejęli osadnicy. W tej wsi, a i w całej gminie, naprawdę trudno jest wcisnąć komuś w użytkowanie rolnicze pole porzucone przez innych. Nic też dziwnego, że taką wersję zagospodarowania 10 hektarów szybko przyjęto do planu zagospodarowania przestrzennego gminy Kamionka. W końcu 1988 roku ekolodzy mieli formalnie otrzymać przydział tej ziemi.

I TU rozpoczyna się konflikt, pojawiają się pierwsze komplikacje, przeszkody. Zaczęło się od tego, że tuż po Sylwestrze 1988/89, a więc w środku zimy, raz i drugi pojawiły się na spornym polu samochody z rejestracją lubelską. Przybysze oglądali pole, las, rzeczkę, a potem zaczęli obmierzać własność ekologów. Ci ruszyli z pytaniami, ale przybysze zmyli się bez wyjaśnień.

Zaniepokojeni miłośnicy nie skażonej przyrody udali się z zapytaniem do gminy i wtedy właśnie bomba pękła. Bo, po pierwsze, okazało się, że owe hektary wcale jeszcze nie są ich własnością. Co gorsza, zamierza je właśnie nabyć lekarz ginekolog z Lublina (w pierwszej wersji ferma lisów, w następnych — choinki). Po drugie RSP zrzekła się nie tylko 10 hektarów, lecz obecnie zwraca także 70 ha innych gruntów, przejętych z Państwowego Funduszu Ziemi. Powód ten sam co uprzednio — nieopłacalność uprawy. I rzecz ostatnia, najważniejsza i najgorsza: połowę z tego ogromnego obszaru gmina zamierza przeznaczyć na działki rekreacyjne. I to nie byle komu, bo takim potentatom jak FSC, PKS, Herbapol i kilku innym.

Wśród osadników zawrzało. Zgrozą przejęła ich wizja domów wypoczynkowych, parkingów, inwazja samochodów i spalin, naloty tabunów ludzi rozdeptujących okoliczne lasy, które właśnie weszły w skład, czekającego na zatwierdzenie przez WRN w Lublinie, Kozłowieckiego Parku Krajobrazowego. A właśnie te pola wcinają się w sam środek przyszłego parku.

To wszystko ujrzeli w wymiarach najazdu Hunów, z zatruciem miejscowych rzeczułek, o krystalicznie jeszcze czystej wodzie, z przepędzoną na cztery strony świata zwierzyną, z nieuchronnymi drogami asfaltowymi, sklepami, parkingami itp. Przerażeni tą wizją zagrozili w gminie, że albo oni, albo rekreacja, albo ekologia, albo dewastacja tej unikalnej przyrody. W swej desperacji posunęli się do tego, że zgłosili gotowość przejęcia w ekologiczne użytkowanie całych 80 hektarów. Zagrozili również, że jeśli gmina nie wyrazi na to zgody i do Dąbrówki zwali się ta cała, pożal się Boże, rekreacja, to oni wynoszą się z Dąbrówki! Nie będą wdychać spalin w samym sercu Parku Krajobrazowego. Nie będą kąpać się w rzece zatrutej fekaliami i smarami, do której oni chodzą myć się bez użycia kawałeczka mydła!

Ale kogo mogła w gminie Kamionka przerazić groźba utraty długowłosych Robinsonów, co ani grzeją, ani ziębią władze gminy, takowoż i mieszkańców Dąbrówki?

Ci ostatni z entuzjazmem poparli projekt rekreacji na wielką skalę! Przyświecały im wizje zgoła odmienne niż te, które przeraziły osadników: drogie działki, drogie mleko i jaja sprzedawane na pniu, na zasadzie kto da więcej; nowe sklepy, lepsze ich zaopatrzenie, drogi dojazdowe, telefony, może nawet stały autobus do samej Dąbrówki? W rekreacji ujrzeli, nie bez racji, ostatnią szansę uratowania osady przed naturalnym wymarciem, przed wymazaniem jej ze spisu ludności za kilkanaście najbliższych lat.

Wkrótce stało się oczywiste, że nie mniejszym entuzjastą rekreacji w Dąbrówce jest sam naczelnik gminy. Z tych samych powodów, które zelektryzowały mieszkańców Dąbrówki: drogi, inwestycje, dotacje z budżetu województwa, lepsze przydziały itd.

W takim stanie rzeczy w Dąbrówce odbyła się sesja wyjazdowa prezydium GRN w siedmioosobowym składzie, z udziałem mieszkańców wsi oraz osadników. Jak było do przewidzenia, nastąpiła tam pełna polaryzacja stanowisk, czyli po prostu ostre kłótnie zwaśnionych stron. Wieś kategorycznie gardłowała za rekreacją a przeciwko pomysłom ekologów. Popierał ją naczelnik oraz członkowie prezydium.

Po tym wstępnym starciu 24 maja odbyła się sesja radnych GRN już w siedzibie gminy w Kamionce. Tam jednak radni, o dziwo, większością głosów poparli ekologów i wypowiedzieli się przeciwko inwazji rekreacji! Jak obecnie zapewnia Jan z Osady, naczelnik gminy był po prostu wściekły na nieposłusznych radnych i zapowiedział apelację. Do kogo? Do radnych, rzecz jasna.

Konflikt nabierał tempa i ognia. Dąbrówka zebrała (na 28 chat i 76 uprawnionych) 40 podpisów domagających się rekreacji i protestujących przeciwko przekazaniu osadnikom spornego areału w całości czy nawet jego połowy.

Tak oto doszło do zapowiedzianej apelacji, czyli do trzeciej i chyba nie ostatniej w tej sprawie, sesji radnych GRN. Wyznaczono ją na 30 lipca br. Zakulisowe notowania przed posiedzeniem były następujące: naczelnik gminy, wsparty listą 40 podpisów mieszkańców Dąbrówki oraz głosami chwiejnych radnych, zamierza doprowadzić do obalenia poprzedniej uchwały GRN.

Osadnicy nie przesypiali sprawy. Ważyło się być albo nie być ich idei, ich pobytowi w Dąbrówce. Na tę decydującą rozgrywkę postarali się zaalarmować prasę, radio, telewizję, sprowadzić na sesję naukowców, profesjonalnie zajmujących się problematyką ochrony środowiska i zagrożeniami ekologicznymi. Nie omieszkali zainteresować sprawą senatora Stanowskiego oraz posła Mańkę. Niestety, obaj nie mogli przybyć na sesję, gdyż tego dnia mieli uczestniczyć w odsłonięciu tablicy pamiątkowej ku czci chłopskich strajków na Lubelszczyźnie. Mimo to wyrazili, jak zapewniają osadnicy, pełne poparcie dla idei ocalenia przyrody kozłowieckiej przed inwazją współczesnych Hunów.

W TAKIM układzie sił i emocji rozpoczęła się decydująca runda, czyli sesja GRN w Kamionce. Na wici ekologów odpowiedzieli osobistą obecnością: doc. dr hab. Jerzy Ohme z Politechniki Lubelskiej, zajmujący się problemami edukacji ekologicznej; doc. dr hab. Iwo Wojciechowski z Akademii Rolniczej w Lublinie (Instytut Przyrodniczych Podstaw Produkcji Rolnej) — członek podkomisji Okrągłego Stołu oraz Komitetu Ekologicznego PAN. A także

przedstawiciele Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, radia oraz „Relacji", czyli piszący ten raptularz.

Formalnie głównym tematem sesji miało być zatwierdzenie budżetu gminy, lecz w przewidywaniu całkowitej dominacji batalii o rekreację, a także litując się nad gośćmi, których debata budżetowa najwyraźniej i zupełnie nie interesowała, prowadzący sesję przewodniczący GRN postanowił przestawić porządek obrad i konflikt przenieść na pierwsze danie. Z wyraźną asekuracją i dezapobatą w głosie przypomniał na wstępie, że jest to już trzecie posiedzenie na ten temat. Apeluje więc do radnych o zwięzłość i niewszczynanie jałowych już sporów i z miejsca proponuje poddać rzecz pod głosowanie: czy chcą rekreacji, czy też nie.

Jak było do przewidzenia, obie zwaśnione strony zignorowały apel. Na początek zabrał głos doc. Jerzy Ohme. Z wyżyn swej wiedzy i funkcji przypomniał zebranym, że w Polsce notuje się najwyższy na świecie przyrost zachorowań na raka, a jest to skutek katastrofalnej sytuacji ekologicznej kraju. W tym kontekście uważa inicjatywę ekologów z Osady za rozwiązanie cenne i jedyne, a już szczególnie istotne w kontekście powstającego Kozłowieckiego Parku Krajobrazowego. Wprawdzie — zauważył na koniec doc. Ohme — decyzja w sprawie działek rekreacyjnych znajduje się w rękach radnych, lecz wymogi Parku Krajobrazowego leżą w interesie całej aglomeracji lubelskiej, a zatem i władz wojewódzkich, toteż należy oczekiwać, że radni WRN także skorzystają ze swych uprawnień i sprzeciwią się rekreacji w Dąbrówce.

W tym samym duchu było utrzymane wystąpienie doc. Iwo Wojciechowskiego. Naukowiec przypomniał, że Dąbrówka leży w dolinie projektowanego Parku Krajobrazowego. Istnieje kilkanaście uwarunkowań i ograniczeń, mających na celu ochronę otulin parkowych, m. in. preferowanie rolnictwa ekologicznego, a wycieczki — tylko niezmotoryzowane. Ponadto doc. Wojciechowski poinformował zebranych, że w Lublinie zasoby zieleni miejskiej są czterokrotnie mniejsze od wymaganych norm. Na co tajemniczy głos z sali wtrącił, że w Dąbrówce jest jej sto razy więcej niż potrzeba mieszkańcom i chętnie część odstąpią mieszkańcom Lublina.

Po tych wstępach eksplodowała dyskusja. Przedstawiciel Solidarności RI z Dąbrówki odczytał protest mieszkańców wsi, wsparty 40 podpisami, przeciwko blokadzie rekreacji i skazywaniu Dąbrówki na skansen. Natychmiast poparł go przewodniczący gminy cytatem z ustaleń Okrągłego Stołu w sprawie samodzielności samorządów terytorialnych: „Plan zagospodarowania przestrzennego powinien być zgodny z interesami rolników".

Oto pospiesznie, fragmentarycznie, w większości bez nazwisk dyskutantów, uchwycona dramaturgia dalszej debaty:

Sołtys z Dąbrówki: — Chcemy tylko część pól przeznaczyć pod rekreację. Nie bronimy mieszkać u nas osadnikom.

Radni:

— Chcemy sobie polepszyć!

— Nikt ich nie chce wyrzucać. Ale i nam niech dadzą żyć!

— Jeżeli wieś czegoś sobie nie życzy, to nie można nas do tego zmuszać. Jest demokracja czy nie ma?

— Po co rada sołecka, jak nic nie może uchwalić?

— Ja podpisałem zgodę osadnikom na osiedlenie, ale teraz widzę, że mnie wpuścili w maliny! Wy chcecie rezerwatu, a my chcemy żyć po ludzku!

— Panie przewodniczący! Niech pan zapanuje nad dyskusją! To po prostu niepoważne!

Dziewczyna z Osady: — Ten konflikt jest sztucznie rozdmuchany. My nie chcemy rezerwatu. Bronimy przyrody, krajobrazu, zdrowia nas wszystkich. Rekreacja i tak nie przejdzie przez WRN!

Radny z Dąbrówki: — RSP Wola miała masę ciężkiego sprzętu i jej się nie opłaciło gospodarować na tych 80 hektarach, a wam się opłaci? Czym obrobicie taki szmat pól?

Chłopak z Osady: — To będzie rolnictwo ekologiczne!

Doc. Ohme: — Jest mi przykro, że miejscowa Solidarność nie docenia potrzeby rolnictwa ekologicznego i ratowania przyrody kozłowieckiej!

Przedstawiciel Solidarności: — Wy chcecie nas spacyfikować!

Jakiś radny: — Jedna z pań ma niedaleko mnie kawałeczek ogródka. Zachwaszczone, że pożal się Boże! A co będzie na tych 34 hektarach, jak je wezmą?

Dziewczyna: — My dopiero zaczynamy. Nie oceniajcie nas według tego, co teraz widzicie.

Ten sam radny: — Ale marchewkę to mogłaby sobie pani już teraz oplewić!

Wkracza w spór przewodniczący. Kategorycznym głosem ucina dalszą wymianę zdań:

— Przystępujemy do głosowania. Kto jest za rekreacją w Dąbrówce?

Następuje liczenie rąk uniesionych nad głowami. Za rekreacją opowiada się 34 radnych. Przeciw — nikt. Wstrzymało się od głosu — 5.

— A zatem — konkluduje przewodniczący — uchwałą radnych GRN w Kamionce, 34 hektary gruntów położonych w Dąbrówce przeznacza się na działki rekreacyjne. Uchwała wchodzi w życie w dniu podjęcia. Przechodzimy do następnego punktu obrad.

Goście opuszczają salę. Przed budynkiem GRN odbywa się króciutka mini-sesja. Co robić dalej? Jedyna nadzieja to czekać na wyrok władz wojewódzkich. Nic innego już nie pozostaje.

TO WIELKA PANI

Postawili kilka szałasów
Fot. Waldemar Stępień

NAUKOWCY wracają do Lublina, a my z Janem udajemy się do Dąbrówki. Mijamy wieś, potem polną drożyną, pośród owsianych ścierniск docieramy do Osady. Tam już czekają na nas. Idziemy wzdłuż domków i wigwamów, zewsząd sypią się niecierpliwe pytania: no jak? Jan w odpowiedzi, bez słowa komentarza, z rezygnacją macha dłonią. Tamci odpowiadają tym samym, a ciche, oderwane słówka komentarza nie pozwalają się zidentyfikować, choć z pewnością są męskie i mocne. Oni w zasadzie spodziewali się takiego finału.

Tuż za nami zajeżdża samochód z warszawską rejestracją. Jan informuje mnie, że to przyjaciele z Francji. Również miłośnicy ekologii. To za ich sprawą telewizja francuska nakręciła film z Osady.

Obaj udajemy się nad rzeczkę i szuwary. W pobliżu dostrzegam kopulaste żebrowanie z gałęzi olchy. W środku dołek, w dołku okrągłe kamienie. Jan informuje, że to indiańska sauna. W dołku rozpala się ogień, potem wystarczy zarzucić derkę na kopułę, wejść do środka i polewać wodę na rozpalone kamienie: coś wspaniałego!

A kilkanaście metrów dalej ogromny wigwam spleciony ze smukłych gałęzi dębu i pokryty trzciną. Z zewnątrz podobny do wielkiego stogu siana. W środku popiskuje uwiązana psina. Chudy, w miсce resztki równie chudziutkiej kaszy, nic do picia. Nielekko...

Wracamy do Osady. Przed jednym z domków tkwi bęben. Jan objaśnia: drąży się pień drzewa, obciąga go skórą, a całość wystawia na deszcze i słońce. Po tygodniach bęben staje się nierozdzielną całością o wspaniałym dźwięku. Sprzedali już sporo takich instrumentów. Cieszą się uznaniem muzyków oraz specjalistów z Centrali Muzycznej.

Wychodzimy na wzniesienie. Za naszymi plecami, w dole, rozciąga się chłodna nizinka rozlewiska. Przed nami, w dali, rozległe pola ścierniск wrzynają się w lasy kozłowieckie. Tam będzie rekreacja. Jan jest zły i smutny. Ale bardziej smutny. Jest to człowiek o franciszkańskim usposobieniu.

Przed rozstaniem, pod wściekle rozżarzonym bezchmurnym niebem lipcowego południa, Jan pyta nieśmiało:

— A pan... Po czyjej jest teraz stronie?

Spogląda na mnie wyczekująco. Bardzo liczy na zwolennika i obrońcę w postaci „Relacji".

Odpowiadam krótko, szczerze:

— Po waszej. Ale, na litość Boską, nie wmawiajcie mi, że zdołacie zagospodarować kilkadziesiąt hektarów gołymi rękami rzeźbiarzy i jubilerów! Bez maszyn. To będzie ofiarnia chwastów. Papież Jan Paweł II powiedział kiedyś o poezji: To wielka pani! Mogę powiedzieć to samo o ziemi: To wielka pani!

Jan przerywa mi z przekonaniem, z tą swoją niezłomną łagodnością:

— Zapewniam pana, że jesteśmy tego samego zdania!

W drodze powrotnej, pośrodku Dąbrówki, zatrzymuję się przy kobiecie stojącej obok furtki. Chcę kupić jaj. Owszem, kobieta ma jaja, jak zapewnia, świeżutkie. Po ile?

Zastanawia się chwilę.

— Po siedemdziesiąt — odpowiada niepewnie.

W Lublinie właśnie dochodzą do stu. Biorę wszystkie, całą trzydziestkę. Jestem więc o 900 złotych „do przodu" w stosunku do ceny lubelskiej. A jak będzie w czasach rekreacji? Może odwrotnie? Może z Lublina będzie opłacało się przyjechać z jajami na wczasy w Dąbrówce?

W domu rozkładam przed sobą agitki, jakie osadnicy rozdawali radnym na sesji. Jest tam również list pasterski Episkopatu Polski na temat ochrony środowiska, mapka Parku Krajobrazowego, ale najciekawszym dokumentem okazuje się docelowy projekt osady ekologicznej w Dąbrówce. Dowiaduję się z niego, że północna część obszaru osady, o pow. 14 ha zagospodarują osadnicy: dwóch Krzysztofów z rodziną, Arkadiusz z rodziną, Urszula.

Założą oni kilka gospodarstw rodzinnych, uprawianych biodynamicznie: drobna hodowla (kozy, owce), tradycyjne tu zboża, warzywa, sadownictwo.

Na obszarze o pow. 18 ha, oznaczonym na wykresie literą B, metodą ekologiczną będzie gospodarował Jan. Podobnie będą zagospodarowane obszary C i D. Wszędzie — bez nawozów sztucznych i chemicznych środków ochrony roślin, z użyciem kompostów, biodynamicznych oprysków ziołowych. Zmianowanie upraw zapewni wzajemną ochronę przed szkodnikami i chorobami, np. grządki cebuli i marchwi chronić będą przed śmietką cebulanką i połyśnicą marchwianą, a „znany wiejskim gospodyniom oprysk z wywaru liści tytoniu zabezpiecza pomidory przed zarazą ziemniaczaną".

W części broszurki informującej o pozarolniczych zamierzeniach osadników dowiadujemy się, że będą prowadzić działalność rzemieślniczą, rękodzielniczą i artystyczną. Od września 1990 roku uruchomią w Osadzie ekologiczną szkołę podstawową, otwartą również dla dzieci mieszkańców wsi. Będzie ona pierwszą w Polsce szkołą ekologiczną stopnia podstawowego z tych, które mają powstać przy współpracy Fundacji Edukacji Ekologicznej i Polsko-Szwedzkiej Fundacji na Rzecz Ochrony Środowiska, w porozumieniu z Ministerstwem Edukacji Narodowej oraz Ministerstwem Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych. Warto przypomnieć, że w br. szkolnym w Poznańskiem zostanie otwarte pierwsze w Polsce liceum ekologiczne.

Na dalszą przyszłość osadnicy widzą możliwość budowy specjalnego budynku w Osadzie na cele edukacji ekologicznej oraz kultury: biblioteka, pracownia muzyczna, filmoteka, nauka języków francuskiego, angielskiego i innych, którymi biegle posługują się niektórzy osadnicy. Będą również prowadzić porady psychologiczne (jest wśród nich psycholog), a nawet ćwiczenia Tai-chi lub Joga. Zgodnie ze swoimi przygotowaniami, osadnicy mogą też prowadzić pracownię rzemiosł artystycznych: tkactwa, kowalstwa, biżuterii, przedmiotów z drewna i inne.

Na koniec czytamy w prospekcie:

Porzuciliśmy wielkie miasta i chcemy żyć tutaj, gdyż jesteśmy głęboko przekonani, że najlepszym miejscem do życia dla człowieka jest mała społeczność wiejska, silnie związana z ziemią i lokalną przyrodą. Uważamy, że jakość życia na wsi może być wyższa niż w mieście. Można tu stworzyć warunki, w których młodzi ludzie zobaczą szansę dla siebie, nie będą porzucać gospodarstw swych rodziców, aby szukać łatwiejszego zarobku i rozrywek w mieście. My przeciwnie — uciekamy z miasta na wieś".

Ano, szczęść wam Boże, Robinsonowie z Dąbrówki! Robinsonowie, ale trochę jakby rodem z La Manchy, z Cervantesa...

„NA LITWIE

Gorące Wilno

LITWA paruje polskością. Ale odzywają się też echa dawnych resentymentów, echa haseł skandowanych przez zakompleksionych litewskich bojówkarzy w latach 1939—40 i odkurzonych teraz: „Na Litwie nie ma Polaków, są tylko brutalnie spolonizowani Litwini!"

Rozmowa pierwsza

Największy w republice dom towarowy (7000 m kw. pow. handlowej) niedaleko, tuż za mostem im. gen. I. Czerniachowskiego, strzeżonym przez zastygłe w kamieniu olbrzymie sylwety robotników i robotnic. Próbuję wytłumaczyć młodej ekspedientce, jaką lutownicę chciałbym kupić synowi, bo to i wolty, i waty różniste, a słownika technicznego nie mam pod ręką. I nagle słyszę polską mowę:

— Czego pan potrzebuje jej powiedzieć? Pomogę... — otwiera się do mnie starszy pan w okularach. — Pan skąd? Z Lublina? Szkoda, że nie z Łodzi, tam rodzina moja zarosła w dalekości... Pan pozwoli, Michał Pawłos jestem, stary Wilniuk, tu urodzony, w dziewiątym roku. Już mnie 80 lat, ale pamięć dobra, panie. Ja całe życie ciężko pracował w budownictwie, po wojnie tu i zostawszy się. Wywieźć nie wywieźli jakoś, a dobrowolnie uciekać ze swojego — po czorta. Działka i dom niezłe, żal zostawić było, no jak. Córka Barbara już tu rodzona, tu jej ziemia rodzinna, jako i moja. A ja... A wiesz pan, ja to zapamiętawszy dokładnie, jak... — snuje opowieść pan Michał.

— Czy warto było?... — wyrywa mi się nagle pytanie, ni do niego, ni do mnie skierowane. Stary Wilniuk milknie, przygląda mi się uważnie z podejrzliwym wzruszeniem. A potem zamyka moje blade dłonie w uścisku swoich — stwardniałych, chropawych. I w milczeniu kiwa głową. Rozgląda się na boki i zza pazuchy wyciąga jakiś złożony w kilkoro papier, wciska mi go w ręce. Uśmiecha się. Odchodzi. Wiem, że już go nie zobaczę i nie będę miał okazji powtórzyć pytania. Ale jestem pewien, że przy końcu pobytu zadam je sobie. Czy warto było? I jaka jest naprawdę ta Litwa...

Rozkładam papier, poprzecierany na zagięciach: „Wilno — plan miasta, rok 1938. Druki i graficzne opracowanie całości: Polska Drukarnia Artystyczna Grafika, Wilno, ul. Tatarska 22. Fotografie Jana Bułhaka. Znaczniejsze daty w dziejach m. Wilna: 1387 — Chrzest Litwy, założenie Biskupstwa Wileńskiego i nadanie miastu prawa magdeburskiego; 1579 — król Stefan Batory szkołę założoną przez jezuitów podnosi do stopnia Akademii; 1655 — najazd moskiewski i rzeź 20000 mieszkańców; 1702 — Szwedzi zajmują miasto; 1705 — wojska moskiewskie okupują miasto; 1753 — założenie Obserwatorium Astronomicznego; 1781—1803 — przekształcona z Akademii Szkoła Główna W. X. Litewskiego; 1793 — Rosja zajmuje Wilno; 1803 — Szkoła Główna przemianowana na Cesarski Uniwersytet Wileński; 1832 — zamknięcie Uniwersytetu Wileńskiego; 1915 — zajęcie miasta przez Niemców; 1918 — okupacja bolszewicka, samoobrona wileńska; 19—21.IV.1919 — marszałek J. Piłsudski oswobadza miasto i 11.X. wskrzesza Uniwersytet Wileński; 1920 — okupacja litewska; 9.X1920 — gen. Żeligowski uwalnia Wilno, tworzy się Litwa Środkowa; 20.II.1922 — uchwała Sejmu Wileńskiego o wcieleniu Ziemi Wileńskiej do Polski. Świątynie w Wilnie: 30 kościołów rzymskokatolickich i greckokatolicki kościół św. Andrzeja, cerkwi 9 (w tym 1 sobór i 1 cerkiew starobrzędowa), zbór ewangelicko-reformatorski, kircha luterańska, synagogi żydowskie 2 (chóralna i główna), kenesa karaimska, meczet muzułmański. Skład narodowości: Polaków 65,94 proc.; Żydów 28,24 proc.; Rosjan 3,77 proc.; Białorusinów 0,80 proc.; Litwinów 0,73 proc.; Niemców 0,28 proc.; Karaimów 0,13 proc.; Tatarów 0,10 proc.; innych 0,01 proc..."

Rozmowa druga

— Jeszcze rok temu nad Wilnem górował tradycyjny czerwony sztandar z sierpem i młotem, a nasze trzy kolory były głęboko ukryte w nas, w naszej pamięci... — mówi Birutę, moja litewska znajoma. Wskazuje na Górę Zamkową. Nad Basztą Gedymina powiewa flaga Litwinów: żółto-zielono-czerwona. Dekret o symbolach narodowych przywrócił także możliwość używania historycznych herbów: Pogoni i Słupów Gedymina. W kioskach z pamiątkami pojawiły się wypalane w glinie krążki, stylizowane na starodawne pieczęcie z początkiem hymnu narodowego, napisanego w roku 1898 do słów Vincasa Kudyrki: „Lietuva, Tevyne musu" („Litwo, Ojczyzno nasza") Na samochodach coraz częściej pojawiają się plakietki LT zamiast SU. Litwini chcą własnej monety i samodzielności gospodarczej, domagają się niecierpliwie wyższej stopy życiowej manifestują niepokornie swoje żądania podczas spontanicznie organizowanych wieców. Jak do tego doszło?

— Litwa zapragnęła być sobą. Dosyć mieliśmy już zbyt powolnych zmian i marazmu duchowego! — podnieca się Birutę, wraca słowami do owej letniej nocy, gdy niespodziewanie na telewizyjnej wieży zawisł trójkolorowy sztandar, przyspawany przez nieznanego sprawcę do metalowego rusztowania. Desperat dokonał tego aktu „sabotażu" politycznego całkiem fachowo, w gumowych rękawiczkach, zasypując ślady proszkiem neutralizującym zapachy tak skutecznie, że nawet specjalnie szkolone psy były bezradne. Sprawca uniknął procesu politycznego, a przebudowa na Litwie stała się faktem...

Hasła przebudowy zespoliły się na Litwie z hasłami odrodzenia narodowego, powstał «Sajudis» — Litewski Ruch na Rzecz Przebudowy, w którym czołową rolę odgrywają intelektualiści, artyści, pisarze i naukowcy. Na czele «Sajudisu» stanął znany muzykolog z Uniwersytetu Wileńskiego — prof. Vytautas Landsbergis. Powstaniu «Sajudisu» towarzyszyły zmiany w Komunistycznej Partii Litwy; jej nowym liderem został bardzo popularny litewski polityk, Algirdas Brazauskas, człowiek dobrze mówiący m.in. po polsku.

«Sajudis» uważa siebie za ruch kontroli społecznej, zapobiegający biurokratycznym wypaczeniom. Twierdzi, że nie jest partią polityczną, ale chce mieć wpływ na politykę kadrową, na wybór władz społeczno-politycznych. O, coś takiego jak u was «Solidarność»... — uśmiecha się przekornie Birute.

Zaglądam do ulotki propagandowej «Sajudisu»: „O jakiej samodzielności republik może być mowa, jeżeli 90 proc. przemysłu Litwy podlega wskazówkom moskiewskich ministerstw? Tak jest we wszystkim. Tylko wtedy, gdy mieszkańcy Litwy sami będą kontrolowali swoją gospodarkę, można będzie zapełnić sklepy towarami. My walczymy o demokrację, o to, żebyście mieli nareszcie możliwość wybierać do rad wszystkich stopni tych ludzi, do których macie zaufanie i abyście mieli możliwość natychmiast zdjąć ich za nadużycie tego zaufania. My walczymy o to, żeby wszyscy na Litwie mieli możliwość dać swoim dzieciom wykształcenie w języku ojczystym. My walczymy o to, żeby nasi synowie służyli w wojsku tylko na Litwie — i Litwini, i Polacy, i Rosjanie — wszyscy obywatele Litwy. My walczymy o to, żeby żadna partia nie miała prawa komenderować całym społeczeństwem. Radio, telewizja, prasa mają być wolne od dyktatu. My walczymy o to, żeby Kościół wrócił do życia publicznego, żeby, jak na całym świecie, Boże Narodzenie i Wielkanoc były świętami państwowymi. My walczymy o czyste powietrze, zdrowe jedzenie, przydatną do picia wodę — bo Litwa zbliża się do kryzysu ekologicznego. Walczymy o większą pomoc dla emerytów, dla wszystkich, którzy żyją w nędzy. Walczymy przeciw niezasłużonym przywilejom..."

— To pobożne życzenia, ale kto wie, kto wie... — zamyśla się Birute. — Przecież już w pierwszym dniu zjazdu «Sajudisu» ogłoszono, że decyzją Rady Ministrów oddano Kościołowi katedrę, prawda? Język, gospodarka — tak. Ale czy nie jest pozbawiona realizmu rezolucja „O terytorialnych siłach zbroj-

Henryk Makarski

Z BIEGIEM BUGU

Adam W. Kulik

ZWIRÓWKA, tzw. gościniec, niesie nas przez Suszczę i Planty. Do Nowej Woli jedziemy jak po pralce. Jesteśmy zmęczeni i źli na siebie, że wpakowaliśmy się w takie bezdroża. Sytuacji nie ratują nawet poziomki, jak naparstki rosnące tuż przy drodze.

W Nowej Woli duża, strzelista cerkiew, malowana na niebiesko. Ładnie komponują się blaszane czapy kopuł. Kierujemy się w stronę Gródka, nareszcie można odetchnąć na dobrej jezdni. Mijamy Michałowo, wypimpuszoną siedzibę gminy; cerkiew malutka, zgrabna, przypominająca unickie w Zamojskiem.

O 21.00, po kilkunastu godzinach „w siodle", wiemy, że Gródka dzisiaj nie zobaczymy. Jesteśmy wypluci. Od początku jadę z bólem prawego biodra, dziś dokucza dotkliwiej niż zwykle. Skręcamy do samotnej zagrody, w której witają nas cielaki na łańcuchach i pewny siebie gospodarz o antypatycznym wyrazie twarzy. Intuicyjnie wyczuwamy konieczność wyemitowania sporej ilości szumu informacyjnego, który byłby w stanie zagłuszyć jego opory. Nadajemy zażarcie z dwóch głośników, tubylec uśmiecha się, ale przecząco kręci głową. W końcu daje za wygraną. Z letniej kuchni wyłazi baba świeżo po kąpieli, w narzuconej na głowę płachcie:

— Kartki od sołtysa są?

— Jakie kartki?

— Na nocleg.

— Co się czepiasz chłopaków. Jadą cały dzień, prześpią się w stodole, rano pojadą dalej.

Burczy niezadowolona. Stoimy niezdecydowani: do stodoły dostać się nie można, bo psy. Prosić o wrzątek przy takiej niechęci? Od furty, zachodząc nas od tyłu, idzie człowiek ze strzelbą. Mam szczerą i nieprzymuszoną wolę wyparowania stąd gdziekolwiek, jest ciemno. Okazuje się, że to syn gospodarza. Myjemy się pod studnią, a za chwilę chłop odprowadza nas do stodoły.

— Żałuję, że tu przyjechaliśmy — szepcze Marek. — W rowie byłoby lepiej.

— Jedziemy?

— Psy nas nie wypuszczą. Rowery zamknięte w garażu.

Rozkładamy śpiwory. Siano wyraźnie ciepłe, zebrane, zanim zdążyło wyschnąć.

DZIEŃ XI

Budzimy się wcześnie: podkoszulki, spodenki, śpiwory mokre. Czujemy się tak, jakbyśmy dopiero co wyszli z sauny, siano dosłownie praży. Podsuszamy rzeczy na płocie, pakujemy się i czym prędzej odjeżdżamy. Gospodarz jak udzielny władca zasiada na tronowych schodach ganku. Mamy kaca. Marek pokazuje bróg siana na łąkach:

— Tam powinniśmy spać.

Po trzech kilometrach jesteśmy w Gródku, dawnym ośrodku dóbr Chodkiewiczów, których dworzyszcze stało na zachowanym do dziś zamczysku. W samym centrum wyniosła, bogata cerkiew z końca XIX wieku — już czwarta na tym samym miejscu. Drewniana, fundowana jeszcze przez Chodkiewiczów, spłonęła w 1915 roku, kiedy ewakuowano w głąb Rosji całą ludność miasteczka. Charakterystyczne, że kościół katolicki zbudowano dopiero w 1926 roku i to jako filialny (cerkiew jest ośrodkiem dekanatu). Najciekawszym elementem jej wyposażenia jest okazały, trzykondygnacyjny ikonostas, a także około 30 krzyży, namalowanych na ścianach nawy głównej, wyobrażających ikonograficzny rozwój tego symbolu religijnego od czasów najdawniejszych.

W 1498 roku Aleksander Chodkiewicz sprowadził tutaj z Kijowa bazylianów, w dwa lata później, wskutek zatargów z miejscową ludnością, zakonnicy przenoszą klasztor w głąb Puszczy Knyszyńskiej, dając zalążek nowemu miastu o nazwie Supraśl.

Zaglądamy do księgarni, w spożywczym kupujemy drożdżówki i śmietanę na śniadanie, Marek ogląda gazety w kiosku „Ruchu".

— Ruskie — zauważa z przekąsem. Klucząc wąskimi uliczkami, wyjeżdżamy w stronę Kruszynian, które stanowią pierwszy cel wędrówki. Drugim, o czym Terlecki jeszcze nie wie, są Bohoniki. Tuż za miasteczkiem zatrzymujemy się w niewielkim zagajniku na popas.

Mamy do przejechania dobrych kilkanaście kilometrów do Kruszynian; w rzeczywistości, nie wiadomo — ile ich będzie. Trzeba też myśleć o powrocie, jeżeli Marek nie zgodzi się na Bohoniki. Zostawiamy więc pobliskie Waliły, pod którymi 20 kwietnia 1863 roku stoczył bitwę oddział powstańczy pod dowództwem Walerego Wróblewskiego, nauczyciela z niedalekiej Sokółki, późniejszego generała Komuny Paryskiej i jednego z twórców II Międzynarodówki.

Nawierzchnia z granitowych kostek, trzęsie jak na kocich łbach. Nawet mój „wariant optymalny" (jazda brzegiem jezdni, 10 cm od pobocza, gdzie asfalt jest najbardziej twardy i suchy, a kostka granitowa obłożona dłuższymi kamieniami lub klinkierem) nie na wiele się przydaje. Ulgę przynosi odgałęzienie bocznej drogi, wiodącej bezpośrednio do Kruszynian. Żwirówka, zupełnie jakby w tej części kraju przez 40 lat nikomu nie zależało na budowie przynajmniej znośnych dróg. Dla przyjezdnych taka dzicz ma swój urok; jak się żyje tubylcom na co dzień — lepiej nie mówić.

Od wczoraj mój przyjaciel rozważa koncepcje państwa jednorodnego etnicznie. Koszmarki to takie, że prędzej by mi ręka uschła, niż bym je opisał. Chcę przemilczeć, nie daję się:

nych Litewskiej SRR"? Takich formacji przecież nie ma w żadnym państwie federacyjnym! Jeżeli Litwini będą służyć w wojsku tylko na terenie Litwy, Uzbecy tylko w Uzbekistanie — to kto będzie służył na pustkowiach syberyjskich, północnych czy dalekowschodnich, a? No i sprawa obywatelstwa litewskiego. Wprawdzie niekontrolowana imigracja grozi zanikiem kultury litewskiej, stwarza problemy społeczne, demograficzne, to prawda, ale na całym świecie jest akurat tendencja odwrotna! Duńczycy i Niemcy z RFN mają paszporty EWG, jest integracja, a my tu żądamy paszportów wewnętrznych. To krok wstecz! Nawet w Związku Radzieckim prowadzi się dyskusję o konieczności wycofania wiz wewnętrznych jako reliktu epoki stalinowskiej, a my co? A my na Litwie dawaj ograniczać swobody przemieszczania się obywateli, to sprzeczne z zasadami demokracji! — medytuje Birute.

Gawędzimy długo... A potem muszę wysłuchać co celniejszych listów czytelników gazety «Atgimimas» («Odrodzenie») — organu prasowego ruchu «Sajudis». Niektórzy zaniepokojeni są faktem, że do »Sajudisu« próbują wniknąć grupy ekstremistyczne. Ekstremiści głoszą hasła antyradzieckie, wzywają nawet do odłączenia republiki od Związku Radzieckiego...

Kalendarz litewski rozgrzewał się, parzył w palce. Jeszcze nie umilkły echa uznania Święta Zmarłych za święto państwowe oraz oddania katedry wiernym, a już ukazał się dekret uznający 16 lutego za dzień odrodzenia państwa litewskiego. Oficjalnie nawiązano do 16 lutego 1918 roku, kiedy to Litwa uzyskała niepodległość.

W piątek 19 maja 1989 roku Rada Najwyższa Litewskiej SRR przyjęła deklarację o państwowej suwerenności Litwy. Oznacza to, że w przyszłości stosunki Litwy z ZSRR i innymi państwami będą ustanawiane wyłącznie na podstawie umów międzynarodowych. W deklaracji przypomniano umowę między Litwą a Rosją Radziecką z 1920 roku, w której Rosja zrzekła się wszelkich roszczeń wobec państwa litewskiego. Zestawiono tamten fakt z wydarzeniami roku 1940, tzn. przyłączeniem Litwy do ZSRR.

Na tejże sesji Rady Najwyższej uchwalono też poprawki do konstytucji Litwy. Odtąd na Litwie obowiązują tylko i wyłącznie prawa uchwalone przez Radę Najwyższą republiki lub przyjęte w wyniku referendum. Żadne uchwały władz ZSRR bez akceptacji litewskiego parlamentu nie mają mocy prawnej. Cały obszar Litwy stanowi narodową własność republiki. Wprowadza się pojęcie obywatelstwa republiki. Zatwierdzono też dekret o nadaniu językowi litewskiemu statusu języka urzędowego. Rosjanie, mniejszości narodowe i obywatele innych republik, zatrudnieni w urzędach państwowych, obowiązani są nauczyć się języka urzędowego w ciągu dwóch lat.

Parlament litewski wystosował do Zjazdu Deputowanych Ludowych i rządu ZSRR petycję z apelem o potępienie tajnych porozumień między ZSRR i Niemcami hitlerowskimi (1939—1941). Czy Moskwa potępi za to Litwę tak, jak ostro skrytykowała jesienią ub. roku Radę Najwyższą Estonii?

Birute stara się nie odpowiadać na krępujące pytania, uważnie obserwuje mnie spoza sprytnego uśmiechu i enigmatycznych gestów szczupłej dłoni. Musiałaby głosić prawdy dla Litwinów niezbyt popularne No bo jakże to: domagać się autonomii dla siebie, a krzywić się na autonomiczne dążenia Polaków? Przywilej wyższości lokatora nad sublokatorem? Niezależność gospodarcza, oparta o wymianę z innymi republikami na zasadzie równorzędności dostaw — po stokroć tak, ale skąd „przy okazji" tendencje antypolskie? Margines? Być może...

Rozmawiam więc już sam ze sobą, skoro z Birute nie mogę. Czy Litwini obawiają się przyjazdu polskich wykładowców i poszerzenia uniwersytetu o fakultety polskojęzyczne? Obawa przed wzmocnieniem środowiska inteligencji polskiej w Wilnie i lęk przed nadmiarem specjalistów nie znających litewskiego? Czy to przypadkiem nie te dokładnie momenty decydowały w latach międzywojennych o torpedowaniu zamiaru otwarcia w Wilnie uniwersytetu dla Litwinów? A dlaczego to Litwini gwałtownie protestują przeciw jakimkolwiek formom autonomii w republice, choć możliwość takich rozwiązań (i to już od gminnego szczebla, czyli apilinek) uznał nie kto inny jak sam Michaił Gorbaczow? Dlaczego Polacy uważają powstałe stowarzyszenie «Vilnija» za skrajnie nacjonalistyczną bojówkę «Sajudisu»? Dlaczego Litwini opowiadając się za demokracją, protestując przeciw dyskryminacji narodów słabszych przez silniejsze, jednocześnie tolerują działania, w których emocje tłumią logikę?

„Nie chcemy czuć się winni jedynie dlatego, że jesteśmy Litwinami. Nie naprzaszaliśmy się do obcego państwa i nie przyszliśmy znikąd. Gdy zmieniły się granice naszej Ojczyzny, pozostaliśmy poza nimi z własną ziemią, litewskim charakterem, niełatwymi drogami. Chcemy żyć tak, aby z całej litewskości ziemi puńskiej i sejneńskiej nie pozostały tylko jej nazwy, które nadali przodkowie..." — czytam w styczniowym numerze «Atgimimasu». Dokładnie tego samgo życzą sobie Polacy na Litwie... Czy «Sajudis» to bardziej protest niż program? Czy Litwini, mówiąc o negatywnych stronach polonizacji, starają się jakby strząsnąć z siebie raz na zawsze polskie nawarstwienia, wszelkie polskie naleciałości? Ale czy cel zawsze uświęca środki? Czy trzeba aż wymyślać bzdury, że w czasie II wojny światowej polscy partyzanci zabijali ludzi tylko dlatego, że mówili po litewsku...

— Zjawiska skrajne są wszędzie, ale są tylko marginesem... — czyta w moich myślach Birute. — Na przykład, taki profesor Bronius Kuzmickas z naszego uniwersytetu, czołowy działacz «Sajudisu»... On odważnie upomina się o prawa Polaków. Mówi, że powinni mieć większy udział w tworzeniu kultury republiki. Że młodzież polska powinna mieć możliwość zdawania egzaminów na studia wyższe w języku ojczystym. Że Polacy powinni mieć możność wypowiedzenia się o swoich krzywdach w okresie stalinizmu, o czym cicho, choć bardzo eksponuje się krzywdy Litwinów. Ale do tego wszystkiego potrzebny jest dystans, powściągliwość wobec drugiej strony... — uśmiecha się znów przekornie.

Rosną niepokoje Polaków, uważanych za spolonizowanych Litwinów. Nieśmiało liczą jednak na «Sajudis». A przecież ciągle są w nim nieobecni. Na zjeździe «Sajudisu» w październiku 1988 roku wśród 1127 delegatów było raptem... 9 (słownie: dziewięciu) Polaków, którzy czuli się raczej bardzo niepewnie, skoro jedna z rezolucji była przeciwko utworzeniu polskiego konsulatu w Wilnie. Konsul mieszka sobie w Wilnie już od kilku miesięcy, a pikiety złożone z „reprezentantów litewskiego ludu" — uniemożliwiają otwarcie tej placówki. Fakt, że sprawa konsulatu była uzgadniana — starym zwyczajem — na linii Warszawa — Moskwa, z pominięciem Wilna, no i Litwini mogli się poczuć urażeni. Ale czy mają decydować ambicje?

Birute już nic nie mówi. Wyraźnie czeka na zmianę tematu. I jest na to szansa. Ostatnio bowiem jakby pojaśniało na litewsko-polskim okopanym froncie, są sygnały zbliżenia stanowisk. Oto 23 kwietnia 1989 roku «Sajudis» — oszczędnie, w trzech zdaniach (ale jednak!) — podziękował Polakom: „Dziękujemy Związkowi Polaków na Litwie za list do narodu litewskiego i przyjmujemy go jako znaczny krok ku zgodzie i współpracy. «Sajudis» wita odrodzenie narodowe Polaków Litwy. Pamiętając o wspólnej walce narodów litewskiego i polskiego o wolność, zaprasza Polaków także i dziś do solidarności w tworzeniu demokratycznej i niezależnej Litwy".

— Słowa i tylko słowa? — nie wytrzymałem.

— Być może, być może... — uśmiechnęła się Birute.

(Koniec odc. 1. — cdn.)

NIE MA POLAKÓW!"

— Dusiliśmy Białorusinów przed wojną, zabieraliśmy im szkoły, nie pozwalali uczyć swojego języka, czy dzisiaj mają tak różowo? Przecież tu nie ma nawet porządnych dróg. Naszym wydaje się książki po pięciu, ośmiu latach, kogo obchodzą ich poeci? Ile lat muszą czekać? To, że chcą z nami żyć, powinno cieszyć, zawsze mieliśmy państwo wielonarodowościowe, przynajmniej możesz zaciągnąć się klimatem dawnych kresów. Zostały resztki, a ty rozpaczasz jak ortodoks.

Dziwne, że muszę mówić rzeczy tak oczywiste. Jak mroczne zakamarki kryje psychika, nawet u ludzi rozsądnych, otwartych na wszystko. Co się porobiło z nami, żyjącymi w tym kraju? Do końca życia nie przestanę się dziwić.

Słońce nagle zachodzi, spada siarczysty deszcz. Szczęście, że ktoś, myśląc o turystach, postawił w środku lasu stoły, ławy i przykrył je dachem. Ulewa, jak nagle gruchnęła, tak szybko przechodzi. Po kilku kilometrach bór otwiera się na duże, pofałdowane pole kwitnącej gryki. Za nim wieś. Falująca, przyprószona bielą zieleń zdaje się nie mieć końca. Tak musiały wyglądać ziemie dworskie dwieście, trzysta lat temu. Oczywiście nie tutaj; kiedy Sobieski osadzał Tatarów, więcej było pustkowi, nieużytków niż pól.

Przed wojną w Rzeczypospolitej muzułmanie byli zorganizowani w 19 gminach wyznaniowych, mieli 18 meczetów, z których zachowały się tylko dwa: w Bohonikach i Kruszynianach. Została ponadto stara gmina w Warszawie. Nowe utworzono w Gdańsku, Szczecinie i Białymstoku. Reszta meczetów pozostała na Litwie i Białorusi, po tamtej stronie granicy; nikt nie wie, czy jeszcze istnieją.

Nie tylko formacje ułanów i kontusz pozostał nam po Tatarach; istnieje hipoteza, że nasze narodowe rogatywki przejęto od Tatarów osiedlonych na Litwie. Z racji swego geopolitycznego — jak byśmy dziś powiedzieli — położenia. Litwa pierwsza doceniła wartość tatarskich osiedleńców: jak książę Witold stwarzał im dogodne warunki życia.

U nas prawdziwy boom przesiedleńczy nastąpił za króla Zygmunta Augusta, który praktycznie zrównał szlachtę tatarską z polską, z jednym wyjątkiem: Tatarzy nie mieli prawa uczestniczenia w życiu politycznym Rzeczypospolitej. Mogli budować meczety, szkoły religijne, uprawiać ziemię, wykonywać wszelkie zawody wedle upodobania, obowiązek był tylko jeden — stawać zbrojnie w każdej potrzebie. I Tatarzy stawali sumiennie przez trzysta lat, aż do kampanii wrześniowej, kiedy ostatnia formacja, Szwadron Jazdy Tatarskiej 13 Pułku Ułanów Wileńskich, straciła dwie trzecie stanu.

Piękna to karta i raczej znana, Tatarzy nigdy nie zawiedli (trudno tu podciągać sytuację z 1673 roku, kiedy przeszli na stronę Turcji, ponieważ Rzeczpospolita nie wypłacała im zaległego od kilku lat żołdu), bili się w wojnach, byli w każdym powstaniu narodowym. Stawali na wezwanie mimo gwałtownego pogorszenia ich warunków życiowych przez Zygmunta III Wazę i jego następców, którzy zakazali budowy meczetów, nie zezwalali na remont starych, nie pozwalali żenić się z chrześcijankami pod karą gardła. Sytuację pogarszały wojny prowadzone bez końca i ogólny upadek kraju będący tego efektem.

Paweł Jasienica, na którego lubię się powoływać, ostatnim Jagiellonom przypisuje początki upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Dobrze by było, gdyby któryś z historyków — szkoda, że Jerzy Łojek odszedł przedwcześnie — wyliczył „zasługi" Zygmunta III Wazy. Byłaby to wielce pouczająca książka o tym, jak władca potężnego królestwa (milion kilometrów kwadratowych to nie byle co) skutecznie podcina korzenie jego potęgi, jeden po drugim tak, iż za dwieście lat istniało tylko z przyzwyczajenia i z powodu opieszałości sąsiadów. Zmieściłoby się w niej oddanie wpływu na decyzje polityczne jezuitom, przetargi o koronę z Habsburgami, podcięcie naturalnej tolerancji i wolności kontrreformacją i prześladowaniami, odsuwanie sprawdzonych, mądrych ludzi (Zamoyski) tworzenie w ich miejsce nowej elity pazernych, nie liczących się z nikim, z żadną wartością królewiąt.

Rozumiem, że podobne działania prowadził Bolesław Chrobry czy Kazimierz Wielki; jednak różnica jest zasadnicza: skutek rozsad. Tamci umacniali królestwo; co umacniał Waza — Bóg raczy wiedzieć. O bezmyślnym wplątaniu kraju w licz-

Dokończenie na str. 13

Wnętrze meczetu w Kruszynianach

Fot. Marek Terlecki

LUBELSKA WALENTYNOWICZ

(DOKOŃCZENIE)

Danuta Winiarska

„To, mówiąc szczerze stało się bez żadnych wskazówek"

11 LIPCA rankiem załoga WSK Świdnik tradycyjnie już wybierała się na godzinę 9. na wiec. W zakładzie coś się działo. Kierownicy mieli zebranie. Parę minut po 7. rozeszli się na swoje wydziały, ogłaszając, że nikomu nie wolno opuszczać stanowiska pracy. To osobiście dotknęło Zygmunta Karwowskiego, młodego inżyniera, który dwa lata wcześniej rozpoczął pracę w Ośrodku Badawczo - Rozwojowym WSK.

— Nigdy nie byłem działaczem — mówi Zygmunt. — Z opozycją nie miałem nic wspólnego, na wybory chodziłem, czerwony nie przeszkadzał mi w niczym, ja jemu też. Żyłem z dnia na dzień. Czułem się jednak człowiekiem wolnym, a tu nagle mówią: „Nie masz prawa się ruszyć, masz siedzieć. To mnie oczywiście natychmiast podenwało. Przez tych pierwszych kierowników, rozstawionych przy drzwiach, jakoś przebrnęliśmy. Na dole kierownik Łobacz zastawił wejście i mówi, że nikogo nie puści. Podszedłem do niego i powiedziałem stanowczo: „Przepraszam, bo ja chcę wyjść". Odsunął się i wyszliśmy wszyscy. Największe problemy były w hali nr 1, drzwi związane były od zewnątrz drutem. „Jedynka" spóźniła się na wiec — musiała forsować wyjścia.

Nastroje znów zrobiły się rewolucyjne. Ktoś intonował pieśni, po jednej zwrotce, bo tylko tyle ludzie umieli. Śpiewano „O cześć wam panowie magnaci, za naszą niewolę kajdany", skandowano: „Tysiąc złotych dla każdego". Rada Zakładowa wyglądała na plac zza firanek. Wyszedł dyrektor Czogała i odczytał pismo, że również 50 proc. umysłowych będzie przeszeregowanych o grupę wyżej. Bartkiewiczowa dodała, że rozmawiali i naprawdę nic więcej nie uda się uzyskać. Wtedy Puczek zaczął krzyczeć, że nieprawda, że wcale z nimi nie rozmawiali. Z tłumu wrzask, że umysłowi zdradzili, że załatwili tylko sobie. W tym momencie Zygmunt Karwowski nie wytrzymał i wyszedł na schody.

— Nie wiem, dlaczego te krzyki — przemówił do zebranych. — Wczoraj można było krzyczeć, że to fizyczni zdradzili. Robią nas w konia, dzieląc trochę to umysłowym, to fizycznym. I tylko patrzeć, jak w tym tłumie zaczniemy się szarpać między sobą.

Zaproponował, żeby wrócić na wydziały, wybrać ludzi najbardziej godnych zaufania i za pół godziny zebrać się w sali konferencyjnej. Powiedział również o wartach, bo była informacja, nieprawdziwa zresztą, że w zakładowym autobusie ktoś wybił szyby. Trzeba na wydziałach utworzyć grupy, które będą pilnować porządku, żeby nic nie zostało zniszczone, żeby nie było pretekstu do rozpędzenia załogi.

Po pół godzinie ludzie zaczęli się schodzić na salę konferencyjną. Przewodniczący Samorządu Robotniczego, Koc, i Zbigniew Puczek prześcigali się nawzajem w typowaniu tych, którzy powinni pójść na rozmowy z dyrekcją. Puczek podawał swoich, a Koc tych, których on uważał za swoich. Ludzie jeszcze nie wiedzieli, że można głosować, i wybierano przez zgłaszanie, wpisując na listę. Wybrano kilkanaście osób, które przeszły do pomieszczeń Rady Zakładowej, aby tam obradować.

Puczek zaapelował, aby wybrać z każdego wydziału co najmniej trzy osoby do Robotniczej Straży Porządkowej, wyjaśnił jej cel i zadania. Wybrano również ludzi będących łącznikami pomiędzy Komitetem a wydziałami. Sam Puczek, chory na astmę i na zwolnieniu lekarskim, poszedł do domu. Została Zofia Bartkiewiczowa, Zygmunt Karwowski, Antoni Grzegorczyk, Roman Olcha, Leszek Graniczka, Józef Kępski, Witold Iwanicki, Henryk Zieliński, Stanisław Pietruszewski, Urszula Radek, inż. Ryszard Kuć i jeszcze paru.

— Jeśli chodzi o powołanie delegatów, jak to władze nazwały, „postojowych", to oni też chcieli ich powołać — wspomina Zofia Bartkiewicz. — Zauważyli, sekretarz i ci inni, że tu się nie odbędzie tak zwyczajnie. A nasz błąd był taki, że myśmy sami nie potrafili. Prawda jest taka, nie potrafiliśmy zorganizować strajku ani Komitetu, myśmy — wstyd się przyznać — korzystali z ich umiejętności. Puczek, robotę pozytywną zrobił, ale się rozchorował i poszedł do domu w momencie, gdy był najbardziej potrzebny. Ja też mogłam powiedzieć, że jestem chora, bo łydki mi drżały ze strachu przed niewiadomym. Nawet pióra w ręku utrzymać nie mogłam i gdyby nie Urszula Radek, która to wszystko pisała, to nie dałabym rady. Zaczęłam sobie przypominać tę książkę Newerlego „Pamiątka z Celulozy" i ten „sojusz raz, sojusz dwa" — z tym chlebem. Intensywnie myślałam, co tam było w tym strajku takiego, co by podpowiedzieć i co by nam teraz pomogło. Byłam zła na Puczka, że chory. Gdyby tu był z nami, co tu dużo mówić — oficer polityczny, on już coś tam ma zakodowane w globusie. A tak musieliśmy się sami uczyć działania.

— Siedliśmy do rozmów z niczym — mówą członkowie Komitetu. — Żądania mieliśmy spisane, ale nie umieliśmy prowadzić rozmów. W imieniu kilkunastoosobowego Komitetu przemawiała Zofia Bartkiewicz, wybrana przewodniczącą, oprócz niej do Prezydium wybrano Zygmunta Karwowskiego i Romana Olchę. Po drugiej stronie stołu zasiedli: dyrektor Czogała, dyrektor Zjednoczenia Kuczyński, Zdzisław Mazur — przewodniczący Rady Zakładowej Związku Zawodowego Metalowców, Mieczysław Koc — przewodniczący Samorządu Robotniczego i wojewoda lubelski Stępień.

— To była trudna rozmowa — opowiada Urszula Radek. — Był nacisk, żeby jak najszybciej skończyć, my też czuliśmy, że tego nie można przeciągać za długo, bo jak powiedział dyrektor Czogała, jeden dzień strajku kosztuje 25 milionów złotych. To była wielka odpowiedzialność. Zaczęliśmy przedstawiać swoje żądania, wtedy słowo „postulat" jeszcze nie padło, ale druga strona sprzeciwiała się. W końcu poprosiliśmy ich, żeby na jakiś czas opuścili salę, żebyśmy mogli przygotować się do rozmów. Było chyba osiem zasadniczych punktów, szczególnie płacowe. Uważałam, że tych 1000 złotych, co ludzie krzyczeli na placu, nie wolno pominąć, w tym czasie już Wolna Europa mówiła o tym i nazwała to dodatkiem drożyźnianym. Pamiętam, powiedziałam, żeby te 1000 złotych żądać jako dodatek drożyźniany. Dziedowa z Rady Zakładowej była przy tym i powiedziała, że nie, że wystarczy podnieść grupy. Broniłam swego stanowiska, że skoro to żądanie było na placu, to Komitet musi to umieścić. Było głosowanie i nie przeszło. Poprosiliśmy tych z dyrekcji na rozmowy i przedstawiliśmy im punkt po punkcie. Nie mieliśmy doświadczenia, trzeba się było nie spieszyć z podpisywaniem, tylko wziąć ekspertów — ekonomików, bo jak nam dyrekcja zaczęła przeliczać, ile kto zyska, to bardzo ładnie wyglądało, ale na papierze. No i ta presja, żeby do 18. skończyć, bo przychodzi druga zmiana.

Uzgodniono zapis, że wszyscy fizyczni i umysłowi zostaną przeszeregowani, z tym że w dwóch ratach. Wtedy grupa to było 300 złotych. Niektórzy mieli być przeszeregowani o grupę, inni o dwie, tak aby podwyżka w dwóch ratach wynosiła średnio 1000 złotych. Dzielić miały kolektywy wydziałowe, czyli sekretarz partii i przewodniczący związku na wydziale. Członkowie Komitetu zażądali, aby w kolektywie był przedstawiciel załogi. W protokóle zapisano, że wojewoda zapewni zwiększony przydział mięsa dla Świdnika, a Rada Zakładowa zajmie się jego rozprowadzeniem między pracowników. Był punkt, że przedstawiciele załogi do rozmów z dyrekcją nie będą pociągnięci do odpowiedzialności. Dyrektor dał jeszcze klauzulę, że dokument jest utajniony. Maszynistka przepisała protokół, rozplombowano tajną kancelarię, gdzie został on zarejestrowany. Komitet zobowiązał się, że załoga odpracuje cztery dni strajku. To był taki gest pojednania — wspomina Urszula Radek.

O godzinie 18. Zofia Bartkiewcz, która miała największy autorytet w zakładzie i była przewodniczącą Komitetu, odczytała przez radiowęzeł, że porozumienie między Komitetem Postojowym a dyrekcją zakładu zostało podpisane i strajk jest skończony. Dyrektor prosił, aby członkowie Komitetu poszli na hale zobaczyć, czy załoga podejmie pracę.

— Gdy weszliśmy na „jedynkę" — mówi Zygmunt Karwowski — ludzie już pracowali. Gdy usłyszeli komunikat, to jakby im ulżyło, że strajk już się skończył. Te 25 milionów strat dziennie, o których mówił dyrektor, robiło w zakładzie wielkie wrażenie.

Po strajku załoga wróciła do pracy i nie było decyzji, czy Komitet Postojowy rozwiązuje się, czy nie. Wymienili tylko między sobą adresy na wypadek, gdyby były aresztowania, bo z tym się liczono.

To, że Komitet po zakończeniu strajku nie pracował dalej Zofia Bartkiewicz ocenia jako wielki błąd.

— Podpisaliśmy porozumienie — mówi — i każdy wrócił do swojej roboty. A trzeba było działać aż do zrealizowania postulatów i podpisać to w umowie, że Komitet rozwiąże się, gdy wszystko zostanie załatwione. To zresztą było oficjalnie powiedziane, czy myśmy się rozwiązali, czy nie, ale nie spotykaliśmy się. Każdy gdzieś tam z boku coś robił. A największy błąd był taki, że trzeba było wtedy rozwiązać związki zawodowe, i delegatów wydziałowych do rozmów z dyrekcją posadzić w lokalu związku jako przedstawicieli załogi. Myśmy tego nie zrobili, bo nie mieliśmy doświadczenia, a nikt nam tego nie podpowiedział.

Tymczasem w zakładzie zaczęło się dzielenie pieniędzy, które załoga uzyskała czterodniowym strajkiem. Zygmunt Karwowski wszedł do kolektywu na swoim wydziale. Postanowili zrobić listę, ile kto dostanie, żeby pracownicy mogli składać zastrzeżenia. W sprawie mięsa Zygmunt chodził ze związkowcem z wydziału do Rady Zakładowej, kiedy zaczną działać, i wtedy się okazało, że są problemy, bo Rada nie jest przygotowana do rozdziału a przede wszystkim nie ma mięsa. To dzielenie pieniędzy i względny spokój w zakładzie trwały do 26 sierpnia.

◆

W tym czasie na Lubelszczyźnie wybuchały kolejne strajki, a Wojciech Onyszkiewicz, członek KSS „KOR" i redaktor „Robotnika", oraz młodzież skupiona wokół Niezależnego Kwartalnika Katolickiego „Spotkania", organizowali akcję informacyjną. Jedynym ich znajomym mieszkającym w Świdniku był Waldek Jakson, szczęśliwym zbiegiem okoliczności sąsiad Bartkiewiczowej. Przez niego dotarli do Zosi, a potem do Andrzeja Perzaka i innych. Ludziom nazwy KOR ani „Robotnik" raczej nic nie mówiły. W dwóch słowach objaśniano, co to jest, że istnieje niezależna działalność, są gazety i potrzeba informacji.

Bibuła przywożona do Świdnika stanowiła wizytówkę, przy jej pomocy przekonywano ludzi. Jeździł zwykle Wojtek, Hania Samolińska, Asia Lipska-Onyszkiewicz. Zebrane informacje przekazywano do Warszawy do Jacka Kuronia. Pierwsza informacja o WSK w tzw. „Księdze pokładowej" w Biurze Informacyjnym KOR pochodzi z 10 lipca. Do Kuronia dzwoniła zwykle Hania Samolińska. Po tygodniu, 18 lipca około godziny 19.40, do jej mieszkania weszła milicja. Zrobiono rewizję, kocioł i na 48 godzin zatrzymano Hankę, jej brata Krzysztofa Żurawskiego z żoną Małgosią, Piotra Tomczyka, Staszka Derdeja, Bogdana Giermka, Norberta Pietrzaka i Janusza Bazydłę. Marylę Bazydłę, która była z dzieckiem, i żonę Staszka Derdeja w 9 miesiącu ciąży po kilku godzinach wypuszczono do domów.

Ponieważ strajkował region, powstał pomysł, aby przedstawiciele strajkujących zakładów spotkali się ze sobą. W Świdniku najbardziej zapalił się do tego Andrzej Perzak i Zygmunt Karwowski, w Lublinie Zdzisław Szpakowski z PKP. Wspólnie z Wojtkiem Onyszkiewiczem zorganizowali spotkanie. Niestety, nie udało się. Szpakowski zasłabł na serce i odwieziono go do szpitala, a Czesława Niezgodę, który był liderem w Lokomotywowni, obstawiła milicja.

◆

26 sierpnia zakład stanął. Dyrektor Czogała wezwał do siebie Zofię Bartkiewicz, pytając, czemu hala nr 1 nie pracuje.

— Teraz mnie pan o to pyta — replikowała Zosia. — Gdyby nasz Komitet istniał, nie trzeba by było strajku, chłopaki powiedzieliby, o co chodzi, i Komitet by z panem sprawę załatwił.

Poszli na halę. Robotnicy nie pracowali. Zofia Bartkiewicz, która dostała wcześniej od Wojtka Onyszkiewicza 21 postulatów MKS, pyta dyrektora, czy zdaje sobie sprawę, że teraz już nie chodzi o kotlet, tylko o poparcie dla Gdańska. Zdecydowano, że Komitet Postojowy zbierze się u dyrektora. Napisali komunikat, że WSK Świdnik popiera 21 postulatów gdańskich i na znak poparcia załoga podjęła strajk solidarnościowy. Tekst komunikatu podpisał po raz pierwszy Komitet nie Postojowy, lecz Strajkowy. Zażądano, aby świdnickie poparcie odczytano w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego. Jeśli nie, załoga następnego dnia znów stanie od 10. Wiadomość o tym, podano przez radiowęzeł i o godzinie 12. pracownicy WSK podjęli pracę.

Wieczorem po Zygmunta Karwowskiego przyjechał zakładowy samochód z prośbą, aby udał się do zakładu, gdyż dyrektor chce z nim rozmawiać. Akurat w telewizji nadawano kazanie księdza prymasa Wyszyńskiego z Częstochowy. Po zakończeniu audycji Zygmunt pojechał. Dyrektor prosił go, by wpłynął na załogę i żeby nie było strajku, gdyż zakład ponosi zbyt duże straty. Zygmunt obiecał, że zrobi wszystko, aby załoga nie strajkowała, ale musi się liczyć ze zdaniem kolegów.

27 sierpnia Komitet Strajkowy zebrał się już o 7. rano. Około trzydziestu wydziałów przysłało swoich delegatów, tak że Komitet powiększono do 34 osób. Robotnicza Straż Porządkowa rozpoczęła działanie. Komitet postanowił, przeforsował to Zygmunt Karwowski, że strajk będzie trwał tylko dwie go-

dziny od 10. do 12. Napisali listy do KC, KW i Rady Ministrów, ponownie żądając, aby poparcie dla Gdańska znalazło sie w DTV.

Komitet Strajkowy obradował na sali konferencyjnej. W tym samym czasie, w innym pomieszczeniu zebrał się aktyw partyjno-związkowy. Przybyli przedstawiciele Komitetu Wojwódzkiego w Lublinie. Burzliwe zebranie przerodziło się w awanturę niemal. Ludzie nie chcieli dać się zagnać do roboty, bez uzyskania pewności spełnienia swoich żądań. Wszyscy członkowie Komitetu Strajkowego, wraz z większością aktywistów partyjno-związkowych, opuścili salę.

Informacja o tych wydarzniach szybko obiegła zakład i załoga natychmiast spontanicznie podjęła decyzję o przedłużeniu strajku. Zaczęły się telefony od dyrektora do członków Komitetu, żeby przyjść na rozmowy. Zygmunt Karwowski odmówił wzięcia w nich udziału. Najpierw dzwoniła sekretarka, żeby przyszedł, potem dzwoniła, że wysyła pod OBR, gdzie pracował, samochód, następnie dzwonił dyrektor, że część Komitetu jest już u niego w końcu sam dyr. Czogała przyjechał i czekał na dole w samochodzie, aż koledzy przekonają Zygmunta. Zygmunt przyznał się, że poprzedniego dnia rozmawiał z dyrektorem, że obiecał zrobić wszystko, aby strajk trwał krótko, ale dyrektor, organizując zebranie aktywu partyjnego, zakpił sobie z nich i on, Zygmunt, nie widzi już więcej możliwości rozmawiania z Czogałą. Przekonany przez kolegów, pojechał jednak. Uzgodniono komunikat, który sam dyrektor naczelny odczytał przez radiowęzeł:

„Komunikat Komitetu Strajkowego WSK Świdnik z dnia 27.08.1980 r.

1. Strajk, który miał miejsce w dniu 27.08.80 r. w WSK, był wyrazem protestu przeciwko niespełnieniu w pełni postulatów z dnia 26.08.80 r. oraz storpedowanej decyzji Komitetu Strajkowego przez pracowników Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie.

2. Dyrekcja, Komitet Zakładowy PZPR i Komitet Wojewódzki PZPR uznaje obecnie istniejący Komitet Strajkowy za prawego reprezentanta Załogi do prowadzenia rozmów między Załogą a Dyrekcją Zakładu, Komitetem Zakładowym oraz władzami zewnętrznymi.

3. Komitet Strajkowy z chwilą względnej normalizacji w kraju dopilnuje przeprowadzenia wyborów nowych władz związkowych w WSK w sposób demokratyczny, tajny i przy nieograniczonej liczbie kandydatów i z chwilą ukonstytuowania się tychże władz Komitet zostaje rozwiązany.

4. W sprawie posulatów strajkujących załóg Wybrzeża zobowiązuje się Komitet Zakładowy PZPR, aby w terminie do dnia 30.08.80 r. spowodował przyjazd kompetentnej osoby z Komitetu Wojewódzkiego PZPR, celem zapoznania Komitetu Strajkowego z rzeczywistymi postulatami strajkującego Wybrzeża.

5. W uzgodnieniu z Dyrekcją WSK, ze względu na nie zawiniony przez Załogę postój w dniu 27.08.80 r. pracownicy otrzymają wynagrodzenie jak za postój w m-cu lipcu.

6. W nawiązaniu do Komunikatu Dyrektora Naczelnego WSK, Komitet Strajkowy ogłasza rozpoczęcie pracy Załogi w dniu 27.08.80 r. o godz. 18.15"

Oprócz Prezydium Komitetu Strajkowego komunikat ten podpisali dyrektor naczelny WSK, przedstawiciel Komitetu Zakładowego PZPR oraz przedstawiciel Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

28 sierpnia na sali konferencyjnej odbyło się zebranie Komitetu Strajkowego łączników wydziałowych z przybyłą z KW w Lublinie panią Krajewską. Krajewska czytała gdańskie postulaty i objaśniała jak rząd zamierza rozwiązać te problemy. Wszystko wskazywało na to, że porozumienie w Gdańsku zostanie zawarte. Jeśli nie, załoga WSK Świdnik wraziła gotowość do ponownego podjęcia strajku solidarnościowego.

Dokończenie na str. 14

BIERUT W KOZŁÓWCE

Wciśnięty między drzewa i spowity zwojami folii

Ręka, która podpisała tyle wyroków śmierci na polskich patriotów

Niedawnych wspomnień czar

Henryk Pająk

LUBELSKI pomnik Bieruta został deportowany do zespołu pałacowego Zamojskich w Kozłówce za Lubartowem. Stanął tam na postumencie z dwóch żelbetowych płyt, wciśnięty między dwie lipy, w prawym rogu parku.

Ostatnia (?) droga dyktatora z Lublina do Kozłówki nie obyła się bez przygód. Platformę wyprzedzał kamaz z przyczepą; ta zawadziła burtą o prawą rękę wystającą poza pojazd. Ręka pękła w spojeniach z górną częścią ramienia i spadła na jezdnię. Kierowca platformy dopiero po jakimś czasie spostrzegł ubytek. Ostatecznie detal ważący około 200 kilogramów dotarł za całością do Kozłówki. Spoczął osobno — na podłodze byłej stajni Zamojskich, gdzie mieści się słynne składowisko rzeźb z okresu socrealizmu w sztuce.

Sprostujmy informację lubelskiej prasy o tym, że postać Bieruta rzekomo waży niewiele i wcale nie jest odlewem, tylko „zwykłą wydmuszką". Otóż zwykłą wydmuszką jest tylko ta informacja, gdyż pomnik jest jednak wspaniałym okazem gigantomanii w tej dziedzinie. Siedmiometrowej wysokości postać Bieruta, o szacunkowej wadze kilkunastu ton, jest odlewem z brązu, wykonanym w pewnym, nie lubiącym rozgłosu, zakładzie na Śląsku. Natomiast sama mosiężna blacha, która za plecami pomnika stanowiła rozległe tło całości, waży 4200 kilogramów. Została zmagazynowana także w Kozłówce. Grubość ścianki brązu w odłamanym przedramieniu wynosi około centymetra. Należy przypuszczać, że w dolnych partiach tułowia grubość ścian odlewu jest znacznie większa, gdyż dźwiga ciężar całości.

To tyle co do anatomii spiżowego dyktatora, zubożonej w drodze o rękę. O tę rękę, która — tu trudno mi oprzeć się kostycznej uwadze — podpisała tyle wyroków śmierci na polskich patriotów!...

Czy Kozłówka jest właściwym miejscem pobytu niechcianego pomnika? Pośredniej odpowiedzi błyskawicznie udzielili zwiedzający pałac. Już na szosie pojawiły się szerokie napisy i kierunkowskazy: „Do Bierutówki!" Obelżywe napisy pokryły także tułów samego pomnika. W tej sytuacji dyrektor zespołu pałacowego, Krzysztof Kornacki, zdecydował się sprowadzić grupę alpinistów (!), aby spowili postać Bieruta, od głowy do samego postumentu, kilkoma zwojami folii. Czy tak ma być zawsze? Czy nie lepiej użyć palników tlenowych i raz na zawsze uwolnić dyktatora od zniewag niewdzięcznego ludu?

Ostatecznie mógłby sobie stać w kącie parku po wsze czasy, ale jego obecność wydaje się tam podwójnie problematyczna. Swoim gigantyzmem pomnik jest niemiłym zgrzytem na tle kunsztownego architektonicznie zespołu pałacowego, a zwłaszcza arcydzieł jego wnętrz. Po drugie, obecność pomnika Bieruta to dysonans, to afront wobec spoczywających tam prochów przedostatniej właścicielki Kozłówki, hrabiny Zamojskiej. Kazała się pochować w pobliżu kaplicy, pod darnią, i tylko biały brzozowy krzyż przypomina, że tu spoczywa wielka pani na Kozłówce. Towarzystwo spiżowego giganta obrazi niejedno estetyczne oko, że już nie wspomnę o pryncypiach moralnych, klasowych i politycznych. Hrabina podobno tylko dzięki pomocy ambasady angielskiej zdołała wyrwać się w 1944 roku z objęć władzy i wyjechać na Zachód... W ubiegłym roku Kozłówkę zwiedziło 115 tysięcy osób. W bieżącym roku zapowiada się jeszcze więcej. Z ciekawości wszyscy będą pielgrzymować w róg parku, aby zobaczyć monument dyktatora.

A może o to właśnie idzie? Ale — satis verborum, czyli — dość słów...

Fotografował Waldemar Stępień

WRZEŚNIOWE DROGI PREZYDENTA I PREMIERA NA LUBELSZCZYŹNIE

Mirosław Derecki

W OBSZERNYM materiale generała Felicjana Słowoja-Składkowskiego pt. „Prace i czynności rządu polskiego we wrześniu 1939 r." — opublikowanym w numerach 5 i 6 paryskiej „Kultury" z 1948 r. — były premier (pod datą 1 września) pisze m.in.:

„Pan Łepkowski, Dyrektor Kancelarii Cywilnej [prezydenta Mościckiego — przyp. M.D.] telefonuje, że ze względu na bombardowanie Zamku w ciągu dnia dzisiejszego, Pan Prezydent wyjedzie tej nocy [z 1 na 2 września — przyp. M.D.] do wsi Błota, leżącej kilka kilometrów od miasta, na prawym brzegu Wisły, przy szosie do Falenicy, gdzie zamieszka w willi jednego ze swoich znajomych. Jest to konieczne, gdyż Zamek nie posiada pewnego schronu przeciwlotniczego".

Pod datą 2 września, Sławoj zapisuje:

„Przed południem wyjeżdżam do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do wsi Błota. Kompania przyboczna strzeże dojścia do willi, której okolice były dziś rano bombardowane przez samoloty niemieckie, gdyż leży ona w pobliżu zapasowego drewnianego mostu przez Wisłę zbudowanego pod Wilanowem, który widocznie Niemcy starali się zniszczyć — zresztą bezskutecznie.

Melduję Panu Prezydentowi sytuację w kraju i zagraniczną oraz uzyskuję kilka podpisów na dekretach personalnych nominacji urzędników, po czym wracam po spokojnej drodze do Warszawy. Tu, również, koło południa bombardowanie ustało, tak że posiedzenie Sejmu i Senatu zapowiada się spokojnie".

■

W myśl planu ewakuacyjnego na wypadek wojny (z lipca 1939 r.) — rząd. Sejm i Senat, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Skarbu miały przenieść się na Lubelszczyznę, rozmieszczając się w samym Lublinie i jego okolicy. Ministerstwo Spraw Zagranicznych i korpus dyplomatyczny miały wyjechać do Nałęczowa i Kazimierza nad Wisłą; pozostałe ministerstwa — także w okolice Lublina. Archiwa państwowe i niektóre biura planowano przenieść do Zamościa i Tomaszowa Lubelskiego. Co do siedziby prezydenta Rzeczypospolitej, to przewidziano na nią Podzamek, leżący na skraju Krasnobrodu na Zamojszczyźnie, majątek senatora Kazimierza Fudakowskiego.

■

Pierwsze pociągi ewakuacyjne miały odejść z Dworca Wschodniego w Warszawie o godz. 10 wieczorem 4 września. Na skutek narastającego z godziny na godzinę zamieszania i bałaganu, pierwszy z tych transportów odjechał dopiero następnego dnia o 5 rano. Równocześnie — szosy na Lublin i na Białą Podlaską zaczęły zapełniać się ogromną liczbą pojazdów samochodowych i konnych, powodujących gigantyczne korki. Szosą na Lublin jechał 5 września m.in. korpus dyplomatyczny kierujący się do Kazimierza i Nałęczowa: długi sznur samochodów osobowych z rozłożonymi na dachach, dla „ubezpieczenia" przed atakami niemieckich lotników, chorągwiami państw neutralnych...

Konieczny stawał się natychmiastowy wyjazd prezydenta Mościckiego ze wsi Błota: premier Składkowski otrzymał przed południem 5 września wiadomość od naczelnika Czekalskiego z warszawskiego Urzędu Wojewódzkiego, że w rejonie Błot zjawili się podobno niemieccy spadochroniarze.

„Wieczorem wyjechaliśmy drogą nad Wisłą idącą do Falenicy (pisze Sławoj-Składkowski pod datą 5 września w „Pracach i czynnościach rządu...") z wicepremierem Kwiatkowskim, by zameldować się u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, celem poinformowania go o sytuacji wojennej w kraju i zagranicą. W okolicy willi patrolowała już warszawska konna policja. Do Błot jechaliśmy szybko, gdyż było jeszcze dosyć widno. Pan Prezydent na nasze przedstawienia [argumentację — przyp. M.D.] powziął decyzję wyjazdu jutro nad ranem do państwowego majątku leśnego, leżącego pod Lublinem. Jest pełen otuchy i wiary w zwycięstwo naszej słusznej sprawy, mimo ciężkich okoliczności, w których obecnie się znajdujemy i będziemy się jeszcze znajdować.

Droga nasza powrotna do Warszawy rozpoczęła się wyrżnięciem bomby w pobliżu nas, przez jakiegoś zapóźnionego lotnika niemieckiego który spuścił swój ładunek w pobliżu mostu na Wiśle, wyraźnie odcinającego się od posrebrzonej światłem księżyca wody".

■

Wspomniany przez premiera Składkowskiego „państwowy majątek leśny, leżący pod Lublinem" to prywatny majątek senatora Kazimierza Fudakowskiego. Sławoja zawiodła w tym względzie pamięć. W opisie wrześniowej podróży prezydenta Mościckiego przez Lubelszczyznę, z podwarszawskich Błot do Krasnobrodu natykamy się na jeszcze jedną nieścisłość. Chodzi o datę wyjazdu z Błot i przyjazdu do Krasnobrodu.

Z relacji gen. Składkowskiego wynika, że podczas jego pobytu w Błotach, 5 września, omawiał z prezydentem sprawę wyjazdu tego ostatniego na Lubelszczyznę w dniu następnym, a więc — 6 września, w godzinach rannych. Tymczasem Kazimierz Fudakowski w swej pisemnej relacji dostarczonej po wojnie doktorowi Zygmuntowi Klukowskiemu — lekarzowi i historykowi — (znajdującej się w Bibliotece KUL w Lublinie, w zbiorach Z. Klukowskiego) stwierdza wyraźnie, że prezydent Mościcki pojawił się w jego majątku nocą z 4 na 5 września 1939 r. (Warto tu nadmienić, że od kilkudziesięciu lat w podlubartowskich Samoklęskach uparcie powtarza się wiadomość, iż na początku września w tamtejszym dworze zatrzymał się, w trakcie podróży, prezydent Mościcki i jadł tam kolację).

Być może senator Fudakowski myli się? Pierwszy rzut samochodów, wiozących osoby towarzyszące oraz rzeczy prezydenta, mógł się bowiem pojawić w Podzamku-Krasnobrodzie już 4 września, a auto prezydenckie dotarło tam np. nocą z 5 na 6 września.

Jechano najprawdopodobniej bocznymi drogami, wzdłuż Wisły, przez Sobienie-Jeziory, unikając zatłoczonej i wciąż atakowanej przez niemieckie samoloty szosy lubelskiej wiodącej przez Garwolin. Gdzieś na wysokości Ryk, w Stężycy lub w Dęblinie, jadący mogli skręcić na wschód, przeciąć „szosę lubelską" i kierować się — znowu bocznymi drogami — przez Michów, Samoklęski, Lubartów — w stronę Lublina; stąd mało zatłoczona szosa wiodła w kierunku Zamościa, Szczebrzeszyna i Krasnobrodu.

Przy takim założeniu trasy przejazdu Błota — Krasnobród, istnieje możliwość potwierdzenia przekazu o krótkim po-

POLEMIKI

I Stronnictwo Demokratyczne się jednoczyło

RYSZARD BENDER

W ciekawej skądinąd wypowiedzi prof. Marka Kuryłowicza, ogłoszonej w nr. 32. „Relacji" pt. „Nie bójmy się inteligencji", zamieszczone zostało zdanie, z którym zgodzić się nie można. Profesor stwierdza: „Trzeba bowiem pamiętać, że SD jest jedyną partią, która od okresu międzywojennego nie zmieniała nazwy i nie miała żadnych kongresów zjednoczeniowych".

Tak kongresu zjednoczeniowego Stronnictwo Demokratyczne nie odbywało, ale miało w 1950 r. swoją zjednoczeniową Radę Naczelną. Nie w nazwie chyba istota rzeczy się zamyka. W dniu 9 VII tegoż roku obradująca pod przewodnictwem Jana Rabanowskiego wspomniana Rada Naczelna SD zadecydowała o wchłonięciu, przyłączeniu do Stronnictwa Demokratycznego resztek chrześcijańsko - demokratycznego Stronnictwa Pracy. Było to coś więcej i było brzydsze niż oficjalne zjednoczenie. Nastąpiła przymusowa aneksja. Postąpiono tak, gdyż żądali tego od SD komuniści, zapewne nie tylko krajowi. I to trzeba wyraźnie powiedzieć, nie przemilczać owego, jakże typowego dla tamtych czasów, „zjednoczenia". Dotyczyło ono również SD.

Włączając w szeregi Stronnictwa Demokratycznego oportunistyczne niedobitki byłego Stronnictwa Pracy, sekretarz generalny SD Zygmunt Moskwa pouczał ich jednocześnie w sposób wysoce wymowny: „Koledzy ze Stronnictwa Pracy muszą znaleźć w naszych kołach atmosferę sprzyjającą pełnemu włączeniu się ich zarówno w proces pracy nad sobą na drodze poznawania światopoglądu poprzez akcję scaleniową, prowadzoną w naszych szeregach, jak i w proces aktywnego włączania się ich w budowę podstaw socjalizmu w Polsce Ludowej przez należyte wypełnianie obowiązków zarówno w pracy zawodowej, jak i społecznej".

Ludzie ci, jednocząc się odgórnie z ówczesnym SD, skazani byli na łaskę i niełaskę jego władz oraz indoktrynację obcego im światopoglądu. Główny architekt owego „zjednoczenia" z ramienia oportunistycznej części Stronnictwa Pracy, dr Feliks Widy-Wirski, nie przeszedł do szeregów SD, wstąpił do PZPR.

Przez cały czas i później istniało Stronnictwo Pracy już tylko na emigracji, kierowane tam przez Karola Popiela. W kraju odżyło ono ponownie dopiero z początkiem bieżącego roku. W dniu 12 II br. członkowie byłych władz naczelnych i wojewódzkich Stronnictwa Pracy, wraz z osobami, które do nich dołączyły, powołali Tymczasowy Zarząd Główny SP z mec. Władysławem Siła-Nowickim jako prezesem. Piszący te słowa jest jednym z wiceprezesów wspomnianego Zarządu Głównego Stronnictwa Pracy. „Zjednoczenie" dokonane przez SD w 1950 r. nie unicestwiło Stronnictwa Pracy. Wraca ono obecnie ponownie na arenę życia politycznego w Polsce.

Bezrozumna siła zdemoralizowanych nas

ADAM KALBARCZYK

Z przyjemnością i satysfakcją przeczytałem list p. Mariusza Gadomskiego, zamieszczony w 31. nrze „Relacji". Nie tylko dlatego, że autor podziela racje przedstawione w moim artykule. Ucieszyło mnie bowiem, że głos ten zaprzeczył poniekąd (nie dając podstaw do niesprawiedliwych uogólnień) diagnozie, którą w tym artykule stawiam, a która, jak mi się po ukazaniu tekstów polemicznych zdawało, w tych tekstach właśnie zyskała empiryczne potwierdzenie.

To, że zabieram głos, jest wynikiem listu p. Gadomskiego, a przede wszystkim implicité zawartego zobowiązania do podjęcia dyskusji z tekstem wydrukowanym w 27. nrze „Relacji", a podpisanym MAK. O ile wiem, był to drugi głos „polemiczny" po wydrukowanym w 25. nrze artykule p. Kowalczyka. Głos p. Gadomskiego zmusza mnie do wyjaśnienia mojej niechęci do takiej dyskusji.

Sądzę, że wszyscy czytelnicy, którzy (jak p. Gadomski) mają zdolność obiektywnej oceny treści „polemik" z moim artykułem, zrozumieją doskonale ową niechęć. Podzielam w pełni przekonanie p. Gadomskiego, żeby polemika była wartościowa, musi być „napisana rzeczowo, wyczerpująco, w duchu szacunku dla poglądów interlokutora" i musi „dorównywać poziomem przedmiotowi sporu". Sądziłem zatem i sąd ten podtrzymuję, że nie ma potrzeby, aby dyskutować z tymi tekstami, nie uważam bowiem, aby któryś z nich obligował mnie do takiej dyskusji.

Wszelako, gdyby ktoś z czytelników lub też któryś z autorów „polemik" zażądał tego ode mnie — służę piórem.

I jeszcze dwie sprawy na koniec.

Pierwsza — warto byłoby chyba rozpowszechnić tekst dyskutowanej ustawy, co zmniejszyłoby emocje i dało możliwość rozsądnego rozważenia jej wartości.

Druga — warto również pamiętać, że dyskusja nad tą ustawą była elementem gry przedwyborczej i że w interesie pewnych grup leżało jej podtrzymywanie i budzenie wokół niej określonych emocji. Trzeba też pamiętać o starej prawdzie, że najgłośniej krzyczą ci, co nie mają nic do powiedzenia. Być może zbyt pochopnie przyjąłem serwowane nam przez mass media opinie jako głos społeczeństwa (zwróciłem jednak uwagę na możliwość manipulacji), apeluję więc: nie dajmy się jednak zbyt długo nabierać.

LISTY

Czy ulica Dymitrowa jest na miejscu?

Od dawna zastanawiałam się nad nazwą ulicy Dymitrowa. Pytałam znajomych, skąd ta nazwa — odpo-

bycie Ignacego Mościckiego w Samoklęskach.

■

Oddajmy teraz głos senatorowi Kazimierzowi Fudakowskiemu, tak oto relacjonującemu pobyt prezydenta Mościckiego w jego dworze w Podzamku-Krasnobrodzie (fragmenty tej relacji zamieściłem po raz pierwszy w publikowanym przeze mnie na łamach „Kameny" cyklu: „Ostatnia podróż prezydenta Mościckiego", w 1985 r.):

„4 września po południu zajechał przed nasz dom samochód osobowy z kuframi. Na zapytanie, skąd i dokąd jedzie i czego sobie życzy, szofer oznajmił, że przywiózł rzeczy zamkowe z Warszawy i że p. prezydent z całym orszakiem podąża za nim. Nikt jednak nas o tym nie uprzedził. Starosta zapytany telefonicznie oświadczył, że o przyjeździe do powiatu głowy państwa nic nie wie, że co prawda zapowiedziany jest przyjazd do Zamościa jakiegoś pociągu z Warszawy, ale nie jest mu wiadomo, co i kogo ma przywieźć. Umówiliśmy się, że zawiadomi mnie, gdyby czegoś się dowiedział.

Mijały godziny, lecz wiadomość nie nadchodziła. O 10-tej wieczorem jeszcze raz telefonowałem do starosty, lecz ten w dalszym ciągu nic nie wiedział. Wobec tgo informacje szofera uznaliśmy za błędne, choć w głowie zmieścić się nie chciało, by o przyjeździe prezydenta starosta mógł nie być powiadomiony.

Dom nasz był oświetlony żywym prądem pochodzącym z tartaku i z młyna. Motory zwykle stawały o 11-tej wieczór i z tą chwilą gasło światło. O godz. 11-ej cały nasz dom ułożył się do snu.

O 12-ej zbudził nas warkot motorów samochodowych. Zajechała kancelaria wojskowa i straż zamkowa z gen. Schally na czele, z kapelanem ks. Humpolą major-domem Michalskim, paru służącymi i kuframi. P. prezydent miał przyjechać za nimi w 1,5 godz. później.

Dom tonął w ciemnościach, służba cała spała. Wszczął się zgiełk, improwizowanie noclegów, roznoszenie kufrów. Lecz nikt z domowników głowy nie stracił, przeciwnie, wszyscy prześcigali się w dobrej woli, tak że po godzinie motory były z powrotem w ruchu, dom oświetlony, a kuchnia gotowa do przyjęcia gości.

O godz. 1-ej w nocy, wśród powszechnego zamieszania, usłyszałem dobijanie się do drzwi wejściowych. Sam je otworzyłem. Z ciemności wychyliła się postać szefa kancelarii cywilnej, min. Łepkowskiego, który zapytywał, gdzie ma się ulokować z rodziną i dwoma samochodami, na których wiózł swój dobytek. O losy głowy państwa wcale się nie troszczył. Odpowiedź moja była cierpka. [...]

O godz. 1 min. 30 w nocy zjechał p. prezydent z rodziną.

Nazajutrz zaczęło się prowizoryczne rozmieszczanie przybyłych osób jako osobistych naszych gości. Członkowie kancelarii wojskowej nie hamowali swego oburzenia na zachowanie się urzędników kancelarii cywilnej, którzy myśleli o sobie, zapominając o głowie państwa. [...]

W niepewności, w jakiej pozostawaliśmy co do przebiegu działań wojennych, oczekiwaliśmy oświetleń od otoczenia głowy państwa. Wkrótce jednak przekonaliśmy się, że zarówno p. prezydent, jak i całe jego otoczenie wojskowe nic nie wie, ponieważ nie ma połączenia z rządem i dowództwem naczelnym. Skwapliwie słuchaliśmy naszego radia i wiadomości nadawanych z Warszawy a prezydent przysiadał się do nas i razem z nami dowiadywał się o tym, co się działo w kraju. Tak upłynął nam dzień pierwszy.

Następnego dnia zaczęły się niemieckie naloty. W obawie przed bombardowaniem wyprowadziliśmy prezydenta z żoną do parku, gdzie w braku schronień i obrony przeciwlotniczej dwa razy ukrywaliśmy ich w klombach świerkowych. Było to nieco naiwne, ale innego wyjścia nie mieliśmy.

Po trzech dniach (! — M.D.) takiego pobytu wśród zgiełku i chaosu organizacyjnego, „Zamek" opuścił Krasnobród, a mówiąc ściślej, naszą siedzibę Podzamek, wezwany przez rząd, który nareszcie zdołał nawiązać łączność telefoniczną. Wyjechali wszyscy 7 września do Ołyki. [...] Już wszyscy siedzieli w samochodach, gdy jeden z adiutantów przypomniał sobie, że w pokoju gościnnym pozostawiono wywiezione z Zamku berło Stanisława Augusta i zwinięty obraz. Na poczekaniu zdecydowano zostawić te przedmioty pod naszą opieką, w chwilę jednak potem adiutant wyskoczył z samochodu i zabrał je ze sobą".

Kazimierz Fudakowski pisze wyraźnie o trzech dniach pobytu prezydenta Mościckiego w jego majątku. Pisze to z takim przekonaniem, opisuje niektóre fakty tak dokładnie, wręcz — drobiazgowo, że od dawna zadaję sobie pytanie, czy to nie on, ale właśnie premier Składkowski pomylił w „Pracach i czynnościach rządu..." chronologię faktów.

(Dokończenie nastąpi)

wiadano mi, że to przyjaciel towarzysza Bieruta. Gdy przeczytałam w nrze 27/89 „Czy ulica Róży Luksemburg jest na miejscu?" — nabrałam odwagi do napisania tego, co poniżej.

Dymitrow Georgi nie był Polakiem lecz Bułgarem. W Polsce przebywał jeden jedyny raz — w maju 1948 r. w Warszawie na czele delegacji w związku z podpisaniem układu przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej między BRL a RP (tak się wtedy nazywała Polska). Jednak nie ma w Warszawie ulicy jego imienia — sprawdzałam w spisie ulic planu Warszawy.

Spotkał się z nim B. Bierut, skierowany z Moskwy w 1930 roku przez Komit. Wyk. Międz. Komun. do Bułgarii. I to jest prawdopodobnie jedyny powód, ażeby serdeczny towarzysz B. Bieruta miał swoją ulicę w Lublinie.

Ale skoro nie ma już ulicy i placu B. Bieruta w Lublinie — dlaczego ma istnieć ulica Dymitrowa? Czas, ażeby podzieliła los ulicy Bieruta. Najlepszym posunięciem byłby powrót do starej historycznej nazwy — Radziwiłłowska. Łatwo było zająć pałacyk Radziwiłłów na uczelnię — mieści się w nim UMCS — trudniej jest uświadomić sobie, kto ten pałacyk ufundował. Niech nazwa ulicy Radziwiłłowska powraca na swoje miejsce. Takie zadanie stawia młodym ludziom do wykonania emerytka.

T. Doratowicz

Lublin

O pomniku Męczenników Getta

W Lublinie, na placyku między ulicą Hanki Sawickiej a Rady Delegatów, w miejscu zwanym „małpim gajem", którego ławki są oblegane przez pijaków najniższego pokroju, znajduje się, o czym wielu lublinian nie ma pojęcia, pomnik Męczenników Lubelskiego Getta. Został on ustawiony w tym miejscu, wówczas traktowanym jako tymczasowe ze względu na to, że teren getta był zniszczony, około roku 1950. Niestety, pomnik mało widoczny, pozasłaniany drzewami, stoi tam do dziś. Po uporządkowaniu obszaru dawnego getta, zamiast przenieść ten pomnik postawiono pomnik Bierutowi.

W sytuacji, jaka wynikła po usunięciu tego ostatniego pomnika, uważam, że wolne miejsce winno być przeznaczone pod pomnik Męczenników Getta, który informowałby o istnieniu w Lublinie dawnej, 45-tysięcznej społeczności żydowskiej, wymordowanej przez Hitlera. Byłoby to jednocześnie scaleniem zabytków żydowskich Lublina. Niedaleko była przecież szkoła rabinacka przy Lubartowskiej róg Unickiej, cmentarze żydowskie na ul. Walecznych i Kalinowszczyźnie i przestrzeń byłego getta.

Stefan Niećko

Lublin

Fot. Archiwum

JÓZEF CZECHOWICZ - W PIĘĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

Józef Zięba

PÓŁ roku przed śmiercią przekroczył trzydziesty szósty rok życia. Dla współczesnych był ciągle „młodym, dobrze zapowiadającym się poetą". Jedynie w gronie najbliższych przyjaciół uznawano go za przywódcę, ale własnej szkoły ani grupy literackiej nie stworzył. Kręgi skamandrytów, kształtujące ówczesną opinię literacką, nie dopuszczały go do swego grona. W renomowanych „Wiadomościach Literackich" i „Skamandrze" nie wydrukował ani jednego wiersza.W normalnych warunkach czekałaby go jeszcze długa droga do utrwalenia literackiej pozycji. Bomba zrzucona na Lublin 9 września 1939 roku przerwałą życie i twórczość Józefa Czechowicza niejako w połowie wędrówki. „Pierwsza połowa" stała się nagle zamkniętą całością. Na „całość" tę patrzymy już dziś z dostatecznie odległej perspektywy. Z perspektywy tej życie, twórczość, a zwłaszcza śmierć poety zyskały inny, ponadindywidualny wymiar, urastając do miary symboli.

Przyjaciele jego też już odeszli i niewielu pozostało świadków minionego czasu. Zacierają się poszczególne biografie. Pozostaje poeta jako reprezentant pokolenia.

Pokolenie jego, zrodzone jeszcze w czasach niewoli, dorastało i dojrzewało do samodzielności w okresie drugiej Rzeczypospolitej. Było pierwszym pokoleniem Polaków kształtujących swoją osobowość bez niewolniczego piętna. O kilka lat starsi walczyli w Legionach. Wielu z nich po odzyskaniu niepodległości zajęło eksponowane stanowiska. Pokolenie Czechowicza mogło się już cieszyć wywalczoną wolnością, mową i szkołą polską. Teraz tylko solidna wiedza, wrodzone zdolności i sumienna praca dawały szansę społecznego i intelektualnego awansu. Szansę tę zapewniała niepodległa ojczyzna. W momencie jej zagrożenia (1920 r.) wszyscy wyruszyli na front. Siedemnastoletni Czechowicz był z nimi.

W przyszłości mogli się szczycić, że w Niepodległej mają swój udział, ale profitów z tego już nie było żadnych. O własnych siłach musieli dochodzić do społecznych i intelektualnych pozycji. Dla takich jak Czechowicz (syn woźnego, urodzony w suterenie), nie był to awans łatwy. Seminarium nauczycielskie, które ukończył, uchylało zaledwie małą furtkę do najniżej usytuowanej grupy inteligencji — nauczycieli wiejskich. Dalsza droga awansu była zamknięta, gdyż seminarzyści nie otrzymywali świadectwa maturalnego, upoważniającego do wstępu na wyższą uczelnię.

Dla najbardziej ambitnych i spragnionych wiedzy pozostawało dokształcanie zawodowe i samokształcenie. Czechowicz wykorzystał obydwie te możliwości. Ukończył najpierw Kurs Nauczycielski w Lublinie, umożliwiający powrót do rodzinnego miasta, a następnie Instytut Pedagogiki Specjalnej w Warszawie, otwierający kontakty ze środowiskiem literackim i inntelektualnym stolicy. By wejść do tych środowisk, musiał Czechowicz uzupełnić skromną wiedzę nauczyciela intensywnym samokształceniem. Dzięki temu mógł się swobodnie poruszać w środowisku ludzi gruntownie wykształconych. Startując z niskiej pozycji wiejskiego nauczyciela, doszedł w końcu do stanowiska redaktora stołecznej rozgłośni Polskiego Radia.

Mógłby więc służyć jako pozytywny przykład dla potwierdzenia istniejących możliwości uzyskania w okresie międzywojennym społecznego awansu. Awansowi nie towarzyszyła jednak radość z uzyskanego sukcesu, gdyż zaciążyło nad nim widmo kryzysu gospodarczego, odciskającego swoje piętno na losach i wizji świata całego pokolenia. Rozczarowanie i przygnębienie było udziałem wszystkich, nie mogło też ominąć wrażliwej wyobraźni autora „Nuty człowieczej". Wkrótce rozczarowania miała przytłoczyć wizja nadciągającej zagłady. Czechowicz przewidział swój tragiczny w niej udział. W wierszu „Żal" przepowiedział, że zginie od bomby.

Los spełnił te przepowiednie w dziewiątym dniu wojennej nawały. Sprowadził poetę z Warszawy do rodzinnego miasta, by niejako zasupłać na zawsze więzi łączące Czechowicza z Lublinem. Nawet miejsce jego śmierci jakby specjalnie zostało wybrane i wyreżyserowane: w samym sercu miasta, gdzie w przyszłości miał być wzniesiony jego pomnik. Został pochowany na cmentarzu wojskowym w jednym szeregu obok znanych i nieznanych żołnierzy, potwierdzając tym swoją przynależność do pokolenia, na którego głowy zwalił się gmach niepodległej ojczyzny.

Wzrastali z Niepodległą i wraz z nią ginęli. Jedni na frontach, inni, jak Czechowicz, pod gruzami walących się miast, a jeszcze inni zapełnili swoimi ciałami katyńskie mogiły. Było to pokolenie tragiczne, skazane przez najeźdźców na zagładę i fizyczne wyniszczenie.

Działania te okazały się bezsilne wobec kultywowanych i tworzonych w tym pokoleniu duchowych wartości. Jedną z nich była poezja, która ocaliła nie tylko pamięć Czechowicza, ale i tych, wśród których tworzył. Poeta stał się symbolem ich wrześniowej ofiary. Nie klęski, ale ofiary, bo klęskę ponieśli ci, którzy wierzyli w bezwzględną siłę fizycznej przemocy. Nie znamy dziś i nie chcemy znać nazwisk niemieckich lotników, którzy zrzucili na Lublin niszczące bomby.

W pięćdziesiątą rocznicę śmierci poety złożymy kwiaty przed jego pomnikiem, by w ten sposób jeszcze raz potwierdzić naszą wiarę w zwycięstwo piękna i poezji nad ślepymi siłami zła, zniszczenia i zagłady.

Wiec anarchistów Fot. Przemysław Jaśkiewicz

17 SIERPNIA

Młodzi ludzie, skupieni wokół Lubelskiej Autonomicznej Grupy Anarchistów, organizują wiec, na którym zbierają podpisy w sprawie utworzenia w Lublinie Ośrodka Wolnej Kultury.

Delegacja młodzieży wraz z listą 500 podpisów udaje się do prezydenta miasta Lublina z łagodnym żądaniem udostępnienia lokalu na Ośrodek Wolnej Kultury. Prezydent nie przyjmuje delegacji i ustala termin spotkania na wtorek. Wśród młodzieży słychać pomruki niezadowolenia. Delegacja powtórnie udaje się do prezydenta. Nie dochodzi do spotkania. Niezadowolenie wzrasta. Rozmawiamy:

— Istniejące ośrodki kultury nie spełniają swojej funkcji, poza kilkoma (Kantor, teatr w Zakopanem). Chodzi o to, by stworzyć ośrodek, do którego przyjdzie człowiek i powie: „mam taki pomysł". Chce to zrobić, niech robi. Oczywiście — krótkie głosowanie.

— Strona ekonomiczna?

— W Gdańsku lokal finansuje Urząd Miejski, a ponieważ Lublin to nie jest Gdańsk, pozostaje raczej samowystarczalność. Istnieje możliwość podjęcia działalności, np. jest masa zespołów z Zachodu, które czekają na zaproszenie; będzie skarbonka, nie będzie biletów. Istnieją takie sposoby zdobywania gotówki, jak organizowanie aukcji sztuki. Mnóstwo osób maluje, rzeźbi i poza tym, że robią to dla siebie — chcą się jakoś utrzymać z tego; na ich pomoc także możemy liczyć. Można rozpocząć drobną działalność produkcyjną — robienie popularnych artystycznych naszywek, znaczków, plakietek, żeby ta ulica inaczej wyglądała.

— W Berlinie Zachodnim istnieje grupa squotersów, która jest w stanie zająć od czasu do czasu dzielnicę i rządzi się na innych zasadach, niż przyjęte w państwie niemieckim. Nie ma rozlewu krwi, jest spokój. My mamy prawo w tym mieście żądać, bo, jak podano, istnieją trzy tysiące nieżytkowanych lokali, w tym kilka, które się rozpadają. Jeśli nadają się do remontu, możemy go przeprowadzić; pomogą nam — miejmy nadzieję — ludzie z całej Polski, a przynajmniej grupy anarchistyczne. Istnieje tutaj, w Lublinie, kilka grup specjalistów, którzy nieodpłatnie chcą nam pomóc. Powolutku możemy zacząć od jednej sali. Jest budynek po Zespole Opieki Zdrowotnej, cała masa dużych lokali, które teraz stoją i niszczeją.

Centrum miasta Lublina, Krakowskie Przedmieście, tłum ludzi objuczonych siatkami, goniących w obie strony, z niecierpliwością spoglądających w okna wystawowe sklepów. Gdzieniegdzie nerwowo ustawia się kolejka. Przed Klubem Międzynarodowej Prasy i Książki zbiera się młodzież. Młodzi ludzie odróżniają się od otaczającej ulicy; ubrani w czarne koszule, na ramionach wymalowane białą farbą litery „A" w kole. W rękach trzymają czerwono-czarne flagi. Zapada decyzja — okupujemy KMPiK.

Wiatr trzepoce czarnymi flagami. Grupa około trzydziestu młodych ludzi, skupionych wokół Lubelskiej Autonomicznej Grupy Anarchistycznej, Federacji Młodzieży Niezależnej, Międzymiastówki Anarchistów, Niezależnego Zrzeszenia Studentów, oraz niezrzeszeni, robotnicy, artyści wchodzą do KMPiK-u. Oświadczają, że zmuszeni są okupować lokal.

W klubie pozostaje piętnaście osób, które podejmują głodówkę. Wnętrze klubu prasy natychmiast zmienia swój charakter. Miejsce drzemiących staruszków zajmują młodzi ludzie, ubrani w dziwaczne, czasami poszarpane odzienie. Na stołach stoją odbiorniki radiowe, butelki z wodą, na podłodze pojawiają się śpiwory. Przed budynkiem wiszą czerwono-czarne flagi, koło drzwi stół z listą, na której każdy z przechodniów, popierający żądanie udostępnienia młodzieży lokalu z przeznaczeniem na działalność kulturalną, może się podpisać. Znów rozmawiamy:

„Cała władza w ręce wyobraźni!"

ANARCHIA NA KRAKOWSKIM

Anna Mickiewicz

— Jeżeli pojawiało się słowo „anarchia", to zazwyczaj było ustawione na równi ze słowem „chaos", a później dodawano epitety — „bandytyzm", „bomby" itp.

— A nie jest tak?

— W Lublinie, z tego, co wiem, a jestem członkiem LAG-i, czegoś takiego nie ma i nie będzie. Gdyby się coś w tym stylu zaczęło — podejrzewam, że większość by z tej grupy odeszła. Większość z nas to pacyfiści, spora część to wegetarianie. Poza tym zazwyczaj członkowie nasi przesiąknięci są ideałami humanistycznymi. Chcemy przeforsować nasz program drogami pokojowymi — właśnie tego typu akcje, gdzie nikogo się nie bije, nikogo się nie atakuje, każdemu się tłumaczy, jeżeli prosi o tłumaczenie.

— Poparcie jest duże. Tylko jedna osoba na dwieście z tłumu krzyknie: „Weźcie się do roboty". Zazwyczaj odpowiadam, że jest wśród nas kilku kolegów, którzy zrezygnowali z urlopów, bo pracują, żeby zorganizować tę akcję. I w tym momencie następuje wyciszenie.

— Wasz ideał?

— Możemy tylko mówić o pierwszym kroku w kierunku anarchii. To jest realizacja programu zjazdu oliwskiego „Solidarności" z osiemdziesiątego roku. Był to program anarcho-syndykalistyczny. Program, który stawiał na samorządy, na organizację zakładów pracy i władzy od dołu do góry, to była Rzeczpospolita Samorządna. Komunizm i anarchizm w wizji końcowej nie różnią się, różni się tylko droga dojścia. Anarchia to likwidacja państwa.

— Lokal... i co dalej?

— My nie jesteśmy partią. Działamy na zasadzie luźnej federacji Ogólnopolskiej Międzymiastówki Anarchistycznej, nie może być mowy o partii. Że do takiego lokalu przyjdą ludzie z KPN-u, PPS-u. A niech przyjdą nawet z ZSMP i będą coś reprezentować, to będą i dyskusje różnego typu. Wolimy dyskutować, niż bić się między sobą na ulicy, bo wiem, że istnieją pewne grupy, nawet w Lublinie, które są ze sobą na noże. Zamiast spróbować zrobić coś wspólnie — zwalczają się, po prostu biją się. Chodzi nam także o masy młodzieży, w której drzemią potencjalne możliwości i która wałęsa się lub korzysta z tanich trunków.

18 SIERPNIA

Sytuacja bez większych zmian. Głodówka trwa nadal, zrezygnowała jedna osoba. Głodującym poparcia udziela KPN, PPS. W oknach klubu wywieszane są plakaty informujące o celu głodówki, założeniach ideowych Międzymiastówki Anarchistycznej. Przed klubem zatrzymuje się coraz więcej osób; jeden z głodujących, zarośnięty, wychudzony, z zapałem i błyskiem w oczach wyjaśnia wszystko, uspokaja, że głodujący nie są faszystami, prosi o składanie podpisów na liście.

19 SIERPNIA

Głodówka trwa nadal. Zebrano już tysiąc podpisów na liście popierającej Ośrodek Wolnej Kultury. Przed KMPiK-iem coraz bardziej kolorowo. Na ścianach coraz więcej plakatów. Do głodujących przychodzą różni ludzie, jakaś plastyczka przynosi swoje collage, które ustawiane są przed klubem. Samorodny artysta, muzyk w wieku trudnym do określenia, gra zapamiętale własne awangardowe impresje na saksofonie. Podobno, jak mówią młodzi ludzie, jest to mamut kontrkultury lat siedemdziesiątych. Przyszedł sam, chciał być z nimi.

Przechodnie przystają, patrzą ze zdziwieniem, wymieniają uwagi: „Ale się ogolił". Jakiś staruszek uparcie próbuje sforsować drzwi klubu. Młodzi grzecznie wyjaśniają: „Dziś nieczynne". Staruszek niewzruszenie spogląda na nich i odchodzi bez słowa.

Obok w sklepie spożywczym pojawił się cukier, kolejka formuje się natychmiast. Oczy ludzi stojących w długim ogonku spoglądają beznamiętnie na kolor, ruch i muzykę, dziejące się tuż obok. Młodzi ludzie zajmują drugą stronę ulicy, gdzie stoi płot okalający od miesięcy trwający remont kamienicy. W ciągu kilku godzin szary płot zostaje pokryty różnobarwnymi malowidłami. Z uśmiechem na twarzy malują słońca, krasnoludki, na dużym plakacie pojawia się hasło: „Cała władza w ręce wyobraźni!".

Wśród głodujących w klubie pojawiają się dwaj chłopcy: Krzysiek (lat 12) i Artur (lat 13). Przyprowadzają ze sobą kota. „To jest kot-anarchia" — mówi jeden z nich. Chłopcy przebywają w lokalu cały dzień. Dobrze się tu bawią, malują plakaty. Wieczorem zostaną odprowadzeni do domów.

— Kiedy protest jest ponury, nie przyciąga ludzi, źle działa na ludzi. Śmiertelna powaga szkodzi. Jest w tym trochę ostrej zabawy, tak że człowiek może się w każdej chwili pośmiać, poszaleć, w pewnych granicach może się wyżyć.

— Tutaj niektórzy tworzą karykatury na nasz temat. Jest to zabawne i ulica się cieszy. Żyjemy w czasach ponurych, gdy nie wiemy, czy za kilka tygodni pojawi się stan wyjątkowy. I my mamy spuścić głowy, patrzeć w bruk i iść dalej, patrząc po sklepach, gdzie nie można nic kupić?! Trzeba wejść do sklepu i zamiast umrzeć na zawał na widok masła kosztującego dwa razy więcej powiedzieć: „Nie jem masła, wobec tego nie będę miał sklerozy".

— Kultura powinna być oderwana od jakiegokolwiek kierownictwa administracyjnego, powinna być anarchistyczna, wolna, spontaniczna.

— Chciałbym bardzo mocno podkreślić, że to, co się dzieje tu, w Lublinie, jest organizowane przez członków różnych grup, nie ma tutaj dominanty, która narzucałaby swoją wolę. W tym ośrodku panuje wolność i demokracja, wszyscy są równie ważni.

Na Krakowskim Przedmieściu — plakatów, malowideł, muzyki coraz więcej. W centrum szarego, smutnego miasta rośnie kolorowa, anarchistyczna oaza.

„Wchodźcie chłopaki! Zajmujemy czytelnię!"

OKUPACJA NA CZCZO

Marek Podgajny

DO budynku weszli w czwartek 17 sierpnia, parę minut po piętnastej. Jeden z nich krzyknął:

— Wchodźcie, chłopaki! Zajmujemy czytelnię!

— Ale ja czytam gazetę! — zaprotestował siedzący przy drzwiach młody mężczyzna.

Spojrzeli po sobie z trudno skrywanym rozbawieniem. W ten sposób rozpoczęła się akcja protestacyjna lubelskich anarchistów.

◆

W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki przy Krakowskim Przedmieściu znaleźli się przypadkowo. Wracali właśnie całą grupą sprzed Ratusza, gdzie na ręce prezydenta miasta Lublina chcieli złożyć następującą petycję:

„My, niżej podpisani [ok. 500 osób], prosimy o przydzielenie nam niezależnego lokalu na Ośrodek Wolnej Kultury. Działające w naszym mieście instytucje kulturalne, wraz ze swoją hierarchiczną strukturą organizacyjną, blokują realizację oddolnych inicjatyw kulturalnych i ograniczają swobodną działalność twórczą, odbiegającą od przyjętych schematów. Jesteśmy przekonani, że będziemy w stanie zorganizować własnymi siłami działanie Ośrodka Wolnej Kultury, spełniającego oczekiwania społecznych kręgów związanych z kulturą alternatywną".

Ponieważ z prezydentem Edwardem Leńczukiem tego dnia nie dane im było się spotkać, petycja została złożona sekretarzowi Urzędu Miasta. Sekretarz, w imieniu prezydenta, zaprosił anarchistów na rozmowę w następnym tygodniu...

— Potraktowano nas i nasze postulaty niepoważnie — twierdzą młodzi anarchiści, przedstawiający się jako Kazio i Rysiek. — Na zorganizowanym zaraz na schodach Ratusza wiecu postanowiliśmy rozpocząć akcję protestacyjną. Budynkiem, który najbardziej do tego celu się nadawał, okazał się z racji swego położenia klub MPiK.

— Weszli prosto z ulicy, bez pytania i zajęli od razu obie czytelnie — opowiadają pracownice biurowe KMPiK. — Z początku byłyśmy przerażone, ale jak dotychczas zachowują się spokojnie, utrzymują porządek, tyle tylko, że wystraszyli naszych klientów i czytelników. Bo zwykle obie czytelnie są pełne, a dziś, jak pan widzi, pustki.

Przed wejściem do budynku, młodzi z czarnymi opaskami na rękawach i napisem LAGA rozdawali ulotki i cały czas zbierali podpisy pod kolejną petycją do prezydenta miasta. Ludzie, czytając rozlepione w oknach afisze, spowodowali na chodniku mały korek. Odchodzą jedni, ich miejsce zajmują inni. Członkowie Lubelskiej Autonomicznej Grupy Anarchistycznej próbowali z niektórymi rozmawiać, tłumaczyć, „o co im chodzi". W odpowiedzi padały czasem słowa poparcia, innym razem obelgi. Starsza pani na widok czerwono - czarnej flagi rzuciła tylko: „Faszyści!".

W ciągu dnia przewinęło się tędy tysiące osób.

◆

Nazajutrz, w piątkowe południe, księgarnia i punkt sprzedaży prasy wewnątrz budynku pracowały normalnie. Każdy tu mógł wejść. Można nawet było skorzystać z czytelni na parterze i przejrzeć prasę, ale mało kto o tym wiedział i korzystał z tej możliwości. Na widok napisu: „Akcja okupacyjna" wracali sprzed drzwi, więc w fotelach na sali siedziało zaledwie 10 osób.

W mniejszej sali na górze rozpoczęła się w tym czasie narada uczestników protestu. Nie ma przywódcy czy przewodniczącego, wszelkie decyzje są poddawane pod głosowanie. Każdy tu decyduje za siebie jak na prawdziwą anarchię przystało.

Nadal piętnastu z blisko 30-osobowej grupy prowadzi głodówkę. Najstarszy ma dwadzieścia kilka lat. Są studenci, niektórzy już pracują, jeden odrabia służbę wojskową. Z racji panujących upałów — jak tłumaczą — korzystają z zimnych napojów. Jednak panie pracujące w klubie twierdzą, jakoby było pite wino. Mówią, że same widziały. Na stoliku przy schodach leży napoczęty bochenek chleba oraz puste opakowanie „Słovitu" w proszku.

Niedawno był brodacz z Komitetu Obywatelskiego „Solidarność". Trochę porozmawiał, pytał o samopoczucie. Zaproponował nawet przysłanie fachowej opieki medycznej.

— Najlepiej młodą pielęgniarkę — dorzucił ktoś z boku.

◆

O czternastej trzydzieści anarchiści złożyli kolejną wizytę w Ratuszu. Tym razem przedłożyli gospodarzom miasta program działalności swego klubu, który co prawda jeszcze nie powstał, ba, nawet nie ma lokalu, ale w tym celu przecież urządzili okupację KMPiK. W nowym klubie ma być podjęta działalność koncertowa, plastyczna i wystawiennicza. Organizowane będą spotkania teatralne, aukcje dzieł sztuki, będzie klub dyskusyjny i kuchnia wegetariańska. Całość, jak to wynika z treści maszynopisu, ma charakter „rządania" (dosłowny cytat z owej deklaracji programowej).

— Na przeszkodzie stoją przede wszystkim wymogi formalne — mówi Feliks Dobrzyński, sekretarz Urzędu Miasta, który spotkał się z anarchistami w czwartek na schodach Ratusza. — Lokale i zezwolenia na prowadzenie jakiejkolwiek działalności publicznej otrzymują różne organizacje społeczne i stowarzyszenia lub osoby prywatne, a nie anonimowy tłum. Są pewne wymogi organizacyjno-prawne, które należy spełnić. I to drogą administracyjną, a nie poprzez wiece, akcje protestacyjne w postaci okupowania miejsc publicznych czy też głodówkę. Uważam takie działanie za niepoważne i nie prowadzące do celu.

◆

Nowy tydzień zaczął się dla anarchistów bardzo wcześnie. W poniedziałek, o 6.40 rano, w Ratuszu przyjął ich prezydent miasta. Jedynym jednak rezultatem tego spotkania była złożona przez ojca miasta obietnica, że rozpatrzy prośbę o lokal, ale dopiero po legalizacji ruchu, który protestujący reprezentują. Inaczej nie można.

Mimo, że tego dnia głodówkę prowadziło tylko 8 osób, to anarchiści nadal w znacznej liczbie pikietują KMPiK.

Pułkownik Komada, wiceszef lubelskiego RUSW, sytuację ocenia jednoznacznie:

— Sprawa okupacji klubu jak najbardziej kwalifikuje się do tego, aby tam weszła milicja. Jednak na prośbę prezydenta nie interweniowaliśmy do tej pory. Również kierownictwo tej placówki nie zwracało się do nas w tym celu, toteż ono bierze odpowiedzialność za to, co się tam dzieje i będzie dalej dziać. My jesteśmy gotowi wkroczyć w każdej chwili.

DO ROBOTY?!

Dokończenie ze str. 1

Hasło „Do roboty", które od dzisiaj powinno rozbrzmiewać radośnie od Bałtyku po Tatry, nie wymieniane jest nawet szeptem. Na utratę przezeń nośności miały swój wpływ wielorakie czynniki. Obiektywne, ale i subiektywne. Zacznijmy od tych pierwszych.

Dewaluacja. Wszystko, co zbyt często powtarzane, a czego efekty okazują się nijakie, ulega dewaluacji. „Do roboty!" — wołali nowi przywódcy państwa tuż po wojnie; i naród, zakasując rękawy, wyciągał trzystuprocentowe normy, odbudowywał z niczego Warszawę i kraj, a po dziesięciu zaledwie latach okazało się, że to nie tak, że błędy i wypaczenia i że w ogóle. „Do roboty!" — wołał Gomułka, człowiek, który zmarnował największą bodaj szansę powojenną na wprowadzenie kraju w obszar normalności. Ludzie zakasali rękawy, zaczęli wznosić huty i stocznie, fedrować do utraty tchu i ustawiać pospiesznie pudełka z wielkiej płyty, ale zaraz się okazało, że błędy i wypaczenia, że to nie tak i że w ogóle. Ba, posypał się na nich grad kul, a na karki spadły im twarde uderzenia metrowych, gumowych pałek. „Pomożecie? Do roboty!" — wołał przywódca partii i narodu, a ludzie znów — acz już z gasnącym entuzjazmem — pochwycili za kilofy i oskardy, ale niedługo okazało się, że błędy i wypaczenia, że to nie tak i że w ogóle. W krótkim powiewie niezależności ich organizacja, prowokowana do nieustających strajków przez nagle zagrożony establishment, nie zdążyła nawet wznieść wspomnianego tu okrzyku, kiedy rozległy się trąby ogłaszające wojnę. „Do roboty!" — wołano do zszokowanego narodu, choć jakby coraz cieniej i z coraz mniejszym przekonaniem.

Tak było w sferze przemysłowej, bo rolnictwo, jako mniej zdolne do wywierania fizycznej presji i mniej wystawione na publiczny ogląd, upadało w zapomnieniu. Jeszcze bardziej w zapomnieniu, upadała inteligencja, klasa pariasów, niebezpieczna i pokrętna, wciąż wietrząca ponoć, jak tu podkopać sojusz robotniczo-chłopski. Chwiały się więc proporcje nie tylko w sferze operatywności, ale nade wszystko w relacjach: płaca — praca. Fizycy mieli dokonywać cudów wynalazczości w chwili, gdy materialnie coraz bardziej wyprzedzał ich zwykły traktorzysta, nauczyciele mieli sumiennie i poświęceniem rzucać w życie wciąż nowe pokolenia w chwili, gdy ich uczniowie zaczęli podjeżdżać do szkół „na razie jeszcze trabantami", a ich samych stać było co najwyżej na kierownicę; lekarze mieli sprawnie i skutecznie leczyć ubezpieczalnianych pacjentów, by ich dzieci nie mogły dostać się na studia „z braku punktów".

Tak było w sferze tzw. czynników obiektywnych. Na nie zaś nakładał się nasz tradycyjny polski brak porządku, ułomność organizacyjna i rozwichrzenie pryncypiów.

Czy w tym ogólnym chaosie, który obejmuje w spadku nowy rząd, wołanie „Do roboty" ma w ogóle sens? A gdyby miało, czy jest w ogóle wykonalne?

Kiedy patrzę na ślamazarne ekspedientki, brudne sklepy „wzorcowe", prychające nienawiścią urzędniczki, zasmrodzony, rozsierdzialy tłum w tzw. środkach miejskiej komunikacji, kiedy naprawią mi telewizor, by po trzech godzinach się popsuł, przykleją krzywo glazurę, rozkręcą kran, że woda ścka po całym mieszkaniu i trzeba ją odciąć w całym bloku, dostarczą meble, w których nie domykają się szuflady, a tylna ścianka szafy rozpadnie się po tygodniu; kiedy sprzedadzą mi połowę zepsutych jajek, sfermentowane, nawodnione mleko, zrobią punkcję zdrowego kolana, zgubią list polecony, wstrzykną żółtaczkę albo i co gorszego, zachęcać będą moje dziecko, by zamiast myśleć, przeczytało sobie od... do..., i zmuszać je do poboru korepetycji, bo szkoła nie potrafi przygotować nikogo na studia — wówczas wątpię.

Optymiści zakrzykną, że „Polak potrafi", że „byle za zielone". A ja im dopowiem — nieprawda. Widziałem, jak w Iraku „nasi" leli posadzkę „za zielone". Siódme poty występowały na czoła majstrów i betoniarzy. Bardzo się starali. Miesięczna pensja wynosiła wówczas w przeliczeniu równą wartość rocznych, krajowych poborów. I nic. Posadzka wciąż wychodziła krzywo. Przepędziliśmy bowiem z fabryk i placów budowy majstrów, mozolnie i skrupulatnie uczących solidnej roboty, celebrowaliśmy jak jakąś ustrojową świętość zasadę „czy się stoi, czy się leży", na kierowników powoływaliśmy według przynależności, a nie umiejętności. Trzeba było więc pojechać na sąsiednią budowę, by od Anglika dowiedzieć się, jak posadzka ma się trzymać równo.

Opowiadała mi swego czasu w Londynie rosyjska Żydóweczka (z grupy tych, których Breżniew wypuścił pod koniec lat 60. z ZSRR), jak to jej ojciec, przemyciwszy do Izraela wcale pokaźną garść złotych carskich rubli, udał się do magistratu, by założyć sklep. Urzędnik podsunął mu stosowne formularze, a po ich wypełnieniu polecił zarejestrowanie nowej firmy w Wydziale Handlu. W tym momencie petent zmartwiał. Wyciągnął z woreczka trochę kruszcu i zaczął wpychać go w dłoń zaskoczonego urzędnika. Wiadomo przecież, że bez „bakszyszu" nic nie da się załatwić. Kiedy urzędnik zagroził wezwaniem policji i oskarżeniem o próbę przekupstwa, stary człowiek wrócił do domu załamany. „Pewnie za mało dawałem" — skarżył się córce. Czyż scena ta nie warta pióra Czechowa lub Gogola?

Głośna jest ostatnio sprawa pewnego przemysłowca spod Pruszkowa, który siły roboczej poszukuje w Indiach. „Nie mogę płacić dużej pół miliona miesięcznie obibokom, którym i tak nie chce się pracować", — powiada.

Wygłoszę więc herezję: Polacy nie potrafią już solidnie wykonywać uczciwej pracy, a zarobki mają się do tego jak przysłowiowy pies do jeża.

Drodzy Rodacy! Jeśli cokolwiek ma się zmienić w tym kraju na lepsze, to nie wystarczą już wojaże na trasie ZSRR — Rumunia — Turcja, nie pomogą pospieszne „zjazdy autobusów po szczycie", nie załatwi sprawy machnięcie łopatą na „od...dol". Przychodzi ciężki czas twardej selekcji. Im prędzej uświadomimy to sobie, tym lepiej. Na drodze do normalności czeka nas powrót do kapitalizmu i to w najbardziej brutalnej jego postaci. Jeśli mamy trafić do raju, taki czyściec jest nie do ominięcia. Ja wiem, że „my się nie zgadzamy", rozumiem, że „chcemy jeszcze pół miliona", cenię, że „my przewodnią klasą narodu" i „solą ziemi czarnej". Takie są wszakże realia, że musimy przejść przez czyściec. Nie powiem, bym na ich funkcjonowanie nie czekał z satysfakcją. Niech się bowiem raz okaże, na ile „Polak zawsze łakomy na gotowe cudze", a na ile potrafi sam stworzyć coś konstruktywnego we własnym kraju. Ostatnio konsulaty wizowe państw zachodnich takim posługują się argumentem: Po co chce pan do nas jechać? Ma pan u siebie taką samą demokrację. Tylko trochę pracy, a niedługo i Holendrzy będą przyjeżdżać do was „na saksy". Trudno takiemu stanowisku odmówić logiki. Rośnie więc liczba decyzji negatywnych i kurczy się obszar wesołej emigracji.

„Do roboty! — intonuję więc nieśmiało. — Kraj mamy wszakże wyjątkowo bogaty".

Tylko czy wytrzyma to nawet rząd Tadeusza Mazowieckiego?

Ja, już po przeczytaniu tego tekstu, wycofuję się cichutko, przepraszam i proszę o przebaczenie. Czasami przychodzą człowiekowi do głowy takie głupie myśli.

Wiesław Horabik

Z BIEGIEM BUGU

Dokończenie ze str. 6—7

ne, niszczące go gospodarczo, a potem i politycznie, wojny, nie ma co pisać.

Polemizując, chociaż po czasie, z ulubionym Pisarzem, twierdzę, że mamy w historii królów znacznie bardziej zasłużonych dla staczania się ich własnego czy też przybranego państwa niż Jagiellonowie, za których te ziemie kipiały w każdej dziedzinie życia. A jeżeli nie, to przynajmniej kraj funkcjonował normalnie. Jakim skarbem jest norma — najlepiej wiedzą XX-wieczni mieszkańcy Ameryki Południowej, Afryki i niestety tzw. „demoludy" — na to przynajmniej wskazuje szaleńcza gonitwa ostatnich lat ku normie. Boję się, żebyśmy gnając i zipiąc, znowu czegoś nie zgubili, nie zapomnieli.

Tymczasem podjeżdżamy do Kruszynian, powoli, na największych trybach — to żadna aluzja, piaseczek po kostki — gawędząc i o tym, i o owym. Meczet, pod który prowadzą nas dzieci, określiłbym (nieadekwatnie — jak chce Terlecki) jako sympatyczny. Takie sobie skrzyżowanie oszalowanego, wiejskiego kościółka z biedną, ale schludną cerkiewką. Klimat swojskości, ciepła, nawet półksiężyce na kopułach bardziej swojskie niż orientalne. Obwarowany murem z narzutowych otoczaków — taki mur już gdzieś widziałem, oczywiście! Podobne, o wysokości ok. 1 metra, okalają łemkowskie cerkwie w Jastrzębiku i Szczawniku koło Muszyny — ta sama konstrukcja, materiał, wysokość, owalny kształt! Ogrodzenia kościołów rzymskokatolickich są znacznie wyższe i zazwyczaj na rzucie prostokąta lub kwadratu.

Pan Aleksander Popławski, opiekun zabytkowej świątyni, przypominający jako żywo sienkiewiczowskich Lipków, waha się długo, ale otwiera drzwi. W przedsionku zdejmujemy buty. Wnętrze bardzo skromne, żadnych wizerunków, na ścianach cytaty z Koranu za szkłem, w ramkach, tzw. muhiry — robota współczesna, nieciekawa. Ale jest kilka dziewiętnastowiecznych, haftowanych. Pismo arabskie samo w sobie jest grafiką, lecz, jak na nasze przyzwyczajenia, wnętrze przesadnie skromne. Wnęka w ścianie — mihrab — wskazuje stronę, gdzie znajduje się Mekka, tuż obok mimbar, rodzaj kazalnicy — mała platforma na podwyższeniu, przykryta daszkiem, na którą wiedzie sześć schodków z obustronną balustradą. Pierwszy schodek zdobi rodzaj drewnianej bramy, przypominającej typowe odrzwia. Mimbar właściwie jest jedynym elementem dekoracyjnym wnętrza. Na przeciwległej ścianie, nad pomieszczeniem dla kobiet oddzielonym ścianą, z małymi otworami przysłoniętymi firanką, rodzaj chóru, na którym niegdyś podczas copiątkowych nabożeństw odprawiał modły muezzin. Żadnych sprzętów kultu — przykryta dywanami podłoga i gładkie, wyłożone drewnem ściany.

Przewodnik podaje statystykę wsi sprzed jedenastu lat: na 289 mieszkańców — 33 stanowili muzułmanie. Siedemdziesięciopięcioletni pan Popławski uaktualnia: już tylko 192 mieszkańców w tym 20 katolików, 10 muzułmanów, pozostali prawosławni. W 1915 roku Niemcy wysiedlili wszystkich kruszynian do Rosji, po wojnie wrócili. Mimo że w Polsce żyje ok. pięciu tysięcy potomków Tatarów, enklawa w Kruszynianach zamiera: młodzi emigrują, najczęściej do Białegostoku. Wieś zapełnia się tylko w święta i wakacje. Ostatni imam, Aleksander Bajraszewski, zmarł przed 12 laty; podczas świąt przyjeżdża mułła z Białegostoku.

Istniejąca od trzystu lat tradycja kończy się, w polskim krajobrazie kulturowym pojawi się kolejne puste miejsce, jak po podlaskim Lebiedziewie. Cywilizacja zaciera kolejne plamy egzotyki; za sto, dwieście lat mieszkańcom milionowych rojowisk pozostaną tylko książki, kawałki dokumentalnych filmów, a i to nie jest do końca pewne: zafascynowani technicznymi fajerwerkami, degradujemy humanizm, na którego bazie minione epoki budowały swoją wielkość. Że z dnia na dzień coraz bardziej miałko, prymitywnie, coraz płyciej, mało kogo przeraża.

(Koniec odcinka 8. — dokończenie nastąpi)

ADAM W. KULIK

KTOKOLWIEK WIE O MIEJSCU UKRYCIA...

Izabella Wlazłowska

TO było następnego dnia po imieninach Anny. Milicja powiadomiona została o kolejnym włamaniu do szkoły. Na miejsce natychmiast wyruszyła grupa operacyjna. Czarna seria włamań trwała.

Wakacje. Młodzież z uczuciem ulgi zamykała za sobą szkolne drzwi, myśląc jedynie o przyjemnościach, jakie nieść będą słońce, woda, obozy i wycieczki w nieznane. Podobnie nauczyciele, którym całoroczne zmęczenie pracą dobrze już dawało o sobie znać. Zamykano więc pospiesznie szkolne sale i gabinety, szafy z pomocami naukowymi i sprzętem dydaktycznym. Ryglowano drzwi wejściowe również te od kuchni i już można było udać się na zasłużony odpoczynek.

Tu i ówdzie rozpoczynały się jednak remonty i malowania. Szkoły we władanie przejmowały ekipy remontowo-budowlane, które zdążyć musiały przed pierwszym dzwonkiem.

W przedwakacyjnej gorączce nie myślano nawet o tym, że jest ktoś, dla kogo wakacje nie oznaczały wypoczynku, a wręcz przeciwnie, okres wytężonej pracy.

Włamywacze. Oni czaili się już na pierwsze skoki.

Tę szkołę upatrzono sobie wyjątkowo. Włamano się do niej czterokrotnie.

Dyrektor Szkoły Podstawowej nr 20 w Lublinie wydaje się być zrezygnowany.

— Szkoła położona jest na uboczu — mówi — a to dla włamywaczy jest dodatkowym atutem.

— To może należało podjąć jakieś specjalne środki zabezpieczające — sugeruję.

— Niektóre pomieszczenia zostały okratowane — mówi dyrektor — ale to nie jest żadnym utrudnieniem dla włamywacza. Podczas kolejnego włamania sprawca wyważył kratę w pomieszczeniu znajdującym się od strony ulicy. Zatrudniliśmy teraz dozorcę nocnego, ale to jest chyba też półśrodek. Optymizmem napawa natomiast fakt, że milicja wykazuje dużą sprawność w ujmowaniu złodziei.

Tego sprawcy jeszcze nie ujęto. Od miesiąca ukrywa się. Ale milicja zna już jego nazwisko. Tak więc licznik jego dni spędzonych na wolności odlicza do tyłu.

— Ujęcie go — usłyszałam na Północnej — to tylko kwestia czasu.

Przypadek ten jest szczególnie przykry i wzbudza powszechne oburzenie.

Szkoła nr 26 to szkoła specjalna. Uczą się w niej dzieci, dla których normalna szkoła pozostaje poza zasięgiem możliwości ich pojmowania i przyswajania. Pobyt i nauka w tej szkole to dla nich jedyna szansa adaptacji w społeczeństwie. Jedyna szansa nauki podstawowych czynności, potrzebnych do wykonywania prostych zawodów. A więc szansa na chleb nie pochodzący z jałmużny.

Od września ubiegłego roku szkoła ma nowego dyrektora.

— To było w lutym tego roku — rozmawiam z dyrektorem przez telefon. — Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z włamaniem do tej właśnie szkoły. Włamywacz zakradł się od strony boiska, wybił szybę w oknie, przez które dostał się do środka. Na szczęście brzęk rozbijanej szyby usłyszały panie mieszkające nie opodal. Zadzwoniły na milicję, która przyjechała natychmiast, otoczyła szkołę i wyciągnęła z niej włamywacza, który wewnątrz naszykował już sobie łup do wyniesienia. Byłem na kolejnej rozprawie w sądzie. To dwudziestokilkuletni człowiek, nigdzie nie pracujący.

— Szkoła nasza położona jest na uboczu — kontynuuje dyrektor — zajmuje wraz z placem około jednego hektara powierzchni i to więc sprawia, że włamywacze upatrują w niej łatwy kąsek.

— Zatrudniacie przecież dozorców nocnych.

— Tak. I gdyby dozorca uczciwie wywiązywał się ze swojej pracy, to może nie doszłoby do tego nieszczęścia. Bo to dla nas naprawdę nieszczęście.

Zawiadomienie o włamaniu do szkoły nr 26 otrzymała milicja 24 lipca. Ponieważ w szkole trwał remont, na jego czas co bardziej wartościowe rzeczy złożono w jednym pomieszczeniu. Podobnie uczyniono z firankami i zasłonkami, pozdejmowanymi ze szkolnych okien. Włamywacz trafił właśnie na to pomieszczenie. Wartość zrabowanych dóbr oszacowano na około pół miliona złotych. Włamywacz dostał się do szkoły przez drzwi frontowe, w których wyważył zamki. Co w tym czasie robił dozorca, nie zdołałam ustalić. Za to wiem, co robił dwa dni później.

Następnym razem włamywacz czy włamywacze dostali się do szkoły, wyważając zamki u drzwi od strony boiska. Zrabowali: trzy telewizory kolorowe i jeden czarno-biały, trzy maszyny do szycia typu „Łucznik", dwa magnetofony, dwa rzutniki, kolumny głośnikowe, mikrofony, kasety magnetofonowe, książki oraz korektory do wymowy, a więc sprzęt wysoce specjalistyczny. Orientacyjnie szacowana wartość zrabowanych rzeczy wyniosła około 7 milionów złotych.

26 lipca dozorca, który miał pełnić w szkole dyżur, miał imieniny żony.

Do protokołu z przesłuchania go przez funkcjonariusza milicji powiedział: „Na imieninach żony wypiłem jeden kieliszek wódki... Przez całą noc nie widziałem nikogo w okolicy szkoły".

I rzeczywiście nie mógł nikogo widzieć, bowiem koło godz. 24. udał się do sklepu mięsnego, zająć kolejkę.

— Dozorca otrzymał upomnienie na piśmie — mówi dyrektor. — Potrącona została mu premia oraz odebrana nagroda, którą z okazji 22 Lipca miał otrzymać.

Czy jest to współmierne do straty jaką ponieśli uczniowie tej szkoły?

Już w dwa dni później milicja odzyskała część sprzętu zrabowanego z tej szkoły. Ustalono też nazwisko jednego sprawcy. Niestety, nie zatrzymano go, bo zdążył się ukryć. Zdążył też ukryć specjalistyczny sprzęt do korekty wymowy i maszyny do szycia.

— Szczególną stratą dla nas jest kradzież trudno dostępnego sprzętu specjalistycznego — mówi dyrektor — oraz trzech maszyn do szycia. Szkoła miała na wyposażeniu w sumie cztery maszyny do szycia. Teraz została nam już tylko jedna. Na czym będziemy uczyć zajęć praktycznych? Co poczniemy z wychowankami, którzy prawie nie mówią?

Pełna poświęcenia była praca milicji, aby wychowankowie tej szczególnej szkoły mogli znowu oglądać świat w kolorze na ekranach telewizorów, które wróciły już do szkoły.

Znam wiele przypadków pomocy społeczeństwa w sprawach bulwersujących opinię społeczną. Zakończę więc apelem: ktokolwiek wie o miejscu ukrycia sprzętu specjalistycznego do korekty wymowy itd., proszony jest...

TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

Ubiegły tydzień zdominowały w telewizji transmisje z obchodów 50 rocznicy wybuchu II wojny światowej.

Edward Chabrowski, magister farmacji, lat 53, Lublin: — Nigdy jeszcze obchody rocznicowe Września nie miały takiego wydźwięku jak w tym roku. To zrozumiałe. Jest to rocznica „okrągła". Jak tyle innych ostatnich wydarzeń — stanowiły one dla świata dowodny przykład głębi procesów dokonujących się w Polsce. Prezydent Jaruzelski w otoczeniu duchownych, radzieccy oficerowie obok Lecha Wałęsy, generał-komunista wspominający „łagry", rabini obok buddystów, mahometanie obok katolików. Kiedy przeczytałem program telewizji radzieckiej na dzień 1 września i nie było tam najmniejszej wzmianki o rocznicowych obchodach, uzmysłowiłem sobie ogromną rolę, jaką wzięła znów na siebie Polska; rolę eksperymentatora, mediatora, posłańca zrozumienia i tolerancji. Czy za ową „postawę honoru" przyjdzie nam znowu zapłacić? Czas pokaże, ale tych obchodów nie można lekceważyć. Tak rozumiem to, co obejrzałem w piątek.

Jadwiga Czarkowska, uczennica, lat 16, Lubartów: — Nie oglądałam żadnych obchodów. To mnie nie interesuje. Ciągle tylko wojna i wojna. Młodzież chce patrzeć w przyszłość. Ja wiem, że to pewnie ważne, ale przecież to było dawno. A ostatnio ciągle nas uczą o tej wojnie inaczej. Zależy od nauczyciela. Jak to było naprawdę?

Michał Dąbek, pracownik fizyczny, lat 31, Kraśnik: — Program wypełniły obchody 1 września. Z przyjemnością obejrzałem te transmisje. Lubię wojskowe parady i w ogóle. My, Polacy, musimy pamiętać o tamtym czasie, a w tym roku do Warszawy zjechał prawie cały świat. Tylko Niemców było mało. Wiadomo — dla nich musi to być trudny dzień do wspominania.

Leszek Handlarz, student, lat 22, Lublin: — W „Panoramie dnia" poinformowano 1 września, że jeden z radzieckich historyków bronił paktu Ribbentrop-Mołotow. Mówił, że dla ZSRR to była konieczność i że takie rozwiązanie było korzystne. Cholera, czy nie korzystne byłoby dla Polski przystąpienie do Paktu Antykominternowskiego? Mógłby się ów historyk zastanowić, gdzie dzisiaj wygłaszałby swoje poglądy. Chyba w zaświatach. Co nas powstrzymało? Honor. A tu wiecznie tylko „korzyść". Ohyda!

„DEKAMERON" W TEATRZE STUDYJNYM

Premierą adaptacji „Dekamerona" Giovanniego Boccaccia Lubelski Teatr Wizji i Ruchu rozpocznie czwarty sezon artystyczny. Adaptacji scenicznej dokonał Waldemar Sulisz, zaś spektakl wyreżyserował Miro Prohazka, utalentowany słowacki reżyser młodego pokolenia. Scenografię przygotował Vladimir Čap, a choreografię — Frank Towen (baletmistrz w wiedeńskim „Moulin Rouge").

Przedstawienie premierowe odbędzie się 16 bm. w sali Teatru Lalki i Aktora i będzie powtórzone w dniach 17—19 bm. Informacje o możliwości rezerwacji i zakupu biletów można uzyskać telefonicznie — tel. 71-19-72, 55-37-63.

LUBELSKA WALENTYNOWICZ

Dokończenie ze str. 8—9

— To, co się stało w Świdniku — mówi Urszula Radek z Komitetu Strajkowego — to, mówiąc szczerze, stało się bez żadnych wskazówek. Ja dosyć głęboko siedziałem w tym i wiem. Świadomość już była, już o Gdańsku wiedzieliśmy dużo, i o Radomiu też. I mówiło się o tym, że wszystko trzeba robić w zakładzie, że nie wolno wyjść na ulice. I dlatego forma strajku była taka, że zmiana nie pracowała, potem szła do domu i następnego dnia znów nie podejmowaliśmy pracy. Moje odczucie jest takie, że to nie było kierowane i nawet doświadczeń nie mieliśmy, bo lata przedwojenne nie były żadnym doświadczeniem. To pokolenie już nie pracowało. Ja znałam strajk, w którym uczestniczył mój ojciec w cementowni w Rejowcu w latach trzydziestych, tylko z opowiadań matki. Matka opowiadała mi, jak kobiety nosiły żywność mężczyznom na zakład, potem w grudniu myśmy też tak nosiły.

— Atmosfera buntu narastała z tygodnia na tydzień. Przed lipcem w zakładzie jawnie rozmawiało się o sytuacji w kraju — mówi Andrzej Sokołowski. — W naszym pokoju na wydziale gospodarczym narzędziowni siedziało 8 technologów i mieliśmy zwyczaj rozmawiać na ostro. Sekretarz też przychodził na te rozmowy. Mówiliśmy o tym, że to się musi zawalić, zdawaliśmy sobie sprawę z katastrofalnej sytuacji gospodarczej kraju. Byliśmy świadomi tego draństwa i tego oszukaństwa. Przykład: chciał szef kupić maszynę za dolary i robił wszystko, żeby oszukać dyrektora. Kazał technologom dawać takie wskaźniki, żeby udowodnić, że bez tej maszyny zakład się zawali. A w gruncie rzeczy chodziło o to, że on chciał jechać do Japonii czy do Szwajcarii, bo on na tym zarabiał, dostał zegarek elektroniczny czy aparat fotograficzny. A te maszyny potem okazywały się niepotrzebne. W ilu zakładach w Polsce tak było. Wiedzieliśmy, że kraj tego nigdy nie spłaci. Ale ludzie jeszcze byli naiwni, jeszcze myśleli, że ten socjalizm jest naprawdę, tylko że coś się nie udaje.

Trzeba dodać — kontynuuje Sokołowski — że u nas przed lipcem tylko nieliczni mieli bibułę. Niektórzy od czasu do czasu słuchali Wolnej Europy. Przed 80. rokiem pokutowało wychowanie komunistyczne. Ci ludzie, którzy w 80. roku mieli około pięćdziesiąt lat, wychowani byli w strachu stalinowskim. Dam przykład — ciągnie Andrzej — jak w latach pięćdziesiątych chcieli się kogoś pozbyć z zakładu, to wystarczyło mu włożyć byle jaki rysunek do kieszeni. Złapali na bramie, od razu był szpieg i szedł na kilka lat do więzienia. Ludzie byli przestraszeni i żadna działalność dla nich nie istniała. Pokolenie trochę młodsze wychowane było przez ZMP i oni liczyli, że może coś się zmieni, że może socjalizm pokaże swoje ludzkie oblicze. Z kolei młodzież, która wchodziła w życie w latach gierkowskich, myślała tylko o pralkach i samochodach. Oni nie zdawali sobie sprawy, jakim to jest kosztem. Byli tacy, co nie szli w 76. roku potępiać warchołów na stadion, ani na 1 maja, ale nie dlatego, że mieli poglądy, tylko dlatego, że im się nie chciało. A jednak to narastało. Myśmy przed 80. rokiem rozmawiali o strajkach, ale nikt nie myślał, że to właśnie Świdnik może zastrajkować pierwszy. Bo jak to: pszenno-buraczana klasa robotnicza?...

Danuta Winiarska

OGŁOSZENIA

BIURO wynajmu lokali. 380-03. 19256/G-5

ZAGRANICZNE oferty matrymonialne paniom, panom poleca „VENUS" skr. 27, 59-850 Świeradów Zdrój. 1P-10

PIANINO — naprawa, strojenie. Lublin 77-35-44. 20025/G

TV

CZWARTEK 7 WRZEŚNIA

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; 10 minut dla urody
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Policjanci z Miami" — odc. 3 pt. „Jądro ciemności" — serial krym. prod. USA
10.10 Domator: To się może przydać
16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.05 Polskie zdroje: Kudowa
16.25 Dla młodych widzów: Wakacyjne wspomnienia
16.45 „Banda Rudego Pająka" — odc. 4 pt. „Wielka akcja" — serial fab TVP
17.15 Teleexpress
17.30 Patrol — wojskowy magazyn public.
18.00 Sonda: Odwieczna wojna
18.30 Program public.
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Policjanci z Miami" — odc. 3 pt. „Jądro ciemności" — serial krym. prod. USA
20.55 Kroniki PAT: Tak było...
21.10 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
22.00 Wokół Sopotu — reportaż
23.00—23.15 Dt — echa dnia.

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Skarby kultury polskiej: Skarby Ciemnolicej Madonny (1)
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na lachy" — film animowany prod. ang.
19.00 Magazyn „102"
19.30 „Świat roślin" — odc. 10 pt. „Tulipany" — serial przyrod. prod. CSRS
20.00 XXIV Międzynarodowy Festiwal Oratoryjno-Kantatowy „Wratislavia Cantans". Retransmisja koncertu Singakademie Erfurt Philharmonische Orchester. W programie utwory Mozarta i Webbera
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki": Henryk Dederko: „Bruno — autobiografia pośmiertna Brunona S., nauczyciela rysunków z miasta Drohobycza". Reż. Henryk Dederko. Wyk.: Olgierd Łukaszewicz, Jerzy Nowak, Anna Chudzikiewicz, Jerzy Gralek, Tadeusz Huk i inni
23.00—23.05 Komentarz dnia.

PIĄTEK 8 WRZEŚNIA

PROGRAM I

8.05 Przybysze z Matplanety (1): Pierwszy rozkaz z Matplanety
8.35 Domator: Nasza poczta; 10 minut dla urody
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Moja w tym głowa" — film fab. prod. ZSRR
10.50 Domator: Szkoła dla rodziców
16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.25 Dla młodych widzów: Wakacyjne wspomnienia
16.45 „Banda Rudego Pająka" — odc. 5 pt. „Alarm w mieście" — serial fab. TVP
17.15 Teleexpress
17.30 Polska walcząca 1939—1945 (2): „Wrzesień 1939" — program studyjno-filmowy
18.30 Studio sport: Puchar Świata w lekkoatletyce
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Kret
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Zwierciadło czasu: „Chłodne lato'53" — film fab. prod. ZSRR
21.40 Kroniki PAT: Tak było...
21.55 Czas — magazyn publicystyczny
22.25 Studio sport: Puchar Świata w lekkoatletyce
23.25—23.40 Dt — echa dnia.

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Z czego śmieją się sąsiedzi: „W poszukiwaniu wyjścia" — komedia prod. ZSRR
19.00 Dziecko na drodze
19.30 Dookoła świata: Nad Zatoką Perską
20.00 Wrześniowy koncert
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka: Sennik Artemidora (2)
21.30 Panorama dnia
21.45 „Bubu z Montparnasse" — film fab. prod. wł. Reż. Mauro Bolognini.
23.20 Komentarz dnia.

SOBOTA 9 WRZEŚNIA

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.40 Program public.
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Arabella" — serial prod. CSRS
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Azymut — wojskowy magazyn publicystyczny
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.25 Skierniewice — święto kwiatów, owoców i warzyw (1)
13.15 Telewizyjny Teatr Prozy: Jarosław Iwaszkiewicz — „Sława i chwała" — cz. I pt. „Puzony sławy". Adaptacja i reż. Lidia Zamkow. Wyk.: Zofia Małynicz, Aleksandra Śląska, Leszek Herdegen, Ryszarda Hanin i inni
14.45 Komedie, komedie, komedie: „Mocne uderzenie" — prod. pol.
16.05 Portrety: „Makarczyński, czyli co to jest film dokumentalny" — film dok. Józefa Gębskiego
17.05 Losowanie Dużego Lotka
17.15 Teleexpress
17.30 Flesz — magazyn rozrywkowy
17.50 Studio sport: Puchar Świata w lekkoatletyce
18.30 Butik — magazyn Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: Przygód kilka wróbla Ćwirka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Poczta ZOO
19.30 Dt
20.05 „Między ustami a brzegiem pucharu" — film fab. prod. pol. Reż. Zbigniew Kuźmiński. Wyk: Jacek Chmielnik, Katarzyna Gniewkowska, Henryk Bista, Anna Wesołowska i inni.
22.10 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz
23.00 Bałtycki Festiwal Piosenki — Karlshamm'89
23.50 Telegazeta
23.55—0.45 Kino sensacji: „Inspektor Taggart": „Wampir z Glasgow" (2) — film prod. ang.

PROGRAM II

14.30 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
14.55 Powitanie
15.00 Zwierzęta świata: „Alaska, kraina zrodzona z zimna" — serial przyr. prod. USA
15.25 Meandry architektury: Zaklęci w kamień
15.45 „Ordy": „Ludwik Pasteur" — film animowany prod. japoń.
16.10 Spektrum — nowości nauki i techniki
16.25 „Trzy ołtarze" (2) — film dok. prod. duńsko-angielskiej
17.10 Kroniki Powstania Warszawskiego
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Miss Universum
19.30 Bułgaria — program dok.
20.00 XXIV Międzynarodowy Festiwal Oratoryjno-Kantatowy „Wratislavia Cantans". W programie Carla Orffa — „Carmina burana"
21.30 Panorama dnia
21.45 Chantal Nobel — powrót do życia
22.00 „Chateauvallon" (18) serial fab. prod. franc.
22.55—23.00 Komentarz dnia

NIEDZIELA 10 WRZEŚNIA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Przygoda na bezludnej wyspie" — film fab. prod. austral.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Ludy Ziemi" — odc. 8 pt. „Włosi" — film dok. prod. hiszp.
11.30 Skierniewice — święto kwiatów, owoców i warzyw (2)
12.10 Teatr dla dzieci: A. A. Milne: „Dawno, dawno temu" — cz. 2 pt. „Motylek i róża"
13.10 Telewizyjny koncert życzeń
13.55 Morze — magazyn public.
13.00 Centralne dożynki — transmisja
14.15 „Wiadomo, Wiech" — film dok.
15.40 „Panna dziedziczka" (17) — serial fab. prod. brazyl.
17.15 Teleexpress
17.30 Studio Sport: Puchar Świata w lekkoatletyce
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kaczora Donalda
19.30 Dt
20.05 „Klan" (2) — serial krym. prod. franc.
21.05 Siedem dni: Świat
21.35 Sportowa niedziela
22.15 Premiery po latach: „Szkic do portretu Dostojewskiego" — film dok. Grzegorza Dubowskiego
23.05 Wyniki Totalizatora Sportowego
23.15 Telegazeta

PROGRAM II

9.45 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
10.15 „Klan" (2) — serial krym. prod. franc. (dla niesłyszących)
11.15 Peryskop — wojskowy magazyn public.
11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.10 Polska Kronika Filmowa
12.30 100 pytań do...
13.10 Kina familijne: „Niebezpieczna zatoka" — odc. 1 pt. „Ostatnia przygoda Joyce" — serial przyg. prod. kanad.
14.05 Aktualności kulturalne: II Ogólnopolski Konkurs Muzyki i Pieśni Ludowej Młodych — Jasło '89
14.20 Film dok.
14.55 Formuła I
15.10 Podróże w czasie i przestrzeni: „Badacze nieznanych kultur" (1) — film dok. prod. ang.
16.05 Formuła I
16.20 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.35 Formuła I
17.00 Studio sport: Finał turnieju w tenisie ziemnym — „Złota polska jesień"
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria „Dwójki": Józef Łukomski
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 Festiwal Muzyczny — Jarocin '89
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć" (2) — serial fab. prod. USA
22.35 „Wratislavia Cantans" — reportaż
23.05—23.10 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK 11 WRZEŚNIA

PROGRAM I

16.20 Program dnia. Dt — wiadomości
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Echa stadionów
18.10 Z wiatrem i pod wiatr — magazyn żeglarski
18.30 Laboratorium
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Ja ci jeszcze pokażę
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Nasza klasyka — Jan Kochanowski: „Odprawa posłów greckich". Reż. Zbigniew Zapasiewicz. Wyk.: Stanisław Zaczyk, Mirosław Konarowski, Joanna Jędryka, Wanda Łuczycka, Piotr Fronczewski
21.05 Kroniki PAT: Tak było...
21.20 Obok nas — reportaż
21.50 Strefa wolnorozrywwa — Szczecin
22.50 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki" na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Na kempingu i dansingu
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.00 Piosenki Agnieszki Osieckiej — śpiewa Barbara Dziekan
19.30 Życie muzyczne — Festiwal Muzyki w Starym Krakowie — reportaż
20.00 Teletrans
20.40 „Kondycja ludzka" — film animowany
21.15 Aktualności kulturalne
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Człowiek ogarnięty pasją — Thomas Hardy" — dokument fabularyzowany prod. ang.
22.40 Komentarz dnia

WTOREK 12 WRZEŚNIA

PROGRAM I

8.35 Domator: Rady na życzenie: Okno z pomysłem
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Numer popisowy — kaskader" — komedia prod. CSRS
10.15 Rady na życzenie
16.00 Program dnia
16.05 Gazeta rolnicza
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż" — film animowany prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 „Następny proszę" — „To czary" — serial obyczaj. prod. ang.
18.30 Klinika Zdrowego Człowieka
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Wesołe przygody Pika, Kwika i wieloryba Grubaska
19.10 Stop
19.30 Dt
20.00 Studio sport: I runda Europejskich Pucharów w piłce nożnej — mecz: Górnika Zabrze — Juventus Turyn w przerwie ok. 20.45 Kroniki PAT: Tak było...
21.45 Spotkanie satyryczne — Krzysztof Piasecki
22.20 Sprawa dla reportera
23.05 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Polskie ogrody zoologiczne: „Zoo w Poznaniu" — film dok. Stefania Piłata
18.00 Program lokalny
18.30 Komedia po polsku: Sprawy do załatwienia
19.30 Blisko nieba: Na skrzydłach
20.00 Non stop kolor: „Suzanne Vega" — film dok. prod. szwedzkiej
20.55 „W kręgu sztuki" — „Pekińskie zakazane miasto" cz. I film dok. prod. japoń.
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Solidarność
22.30 „Słońce wschodzi raz na dzień" — dramat społeczny prod. pol. Reż. Henryk Kluba.
24.00 Komentarz dnia

ŚRODA 13 WRZEŚNIA

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kolorowa kuchnia: Abażur
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „I pójdę aż na koniec świata" — film fab. prod. CFSRS
10.35 Domator: Przyjemne z pożytecznym
16.15 Program dnia. Dt — wiadomości
16.20 Losowanie Express i Super Lotka
16.25 Dla młodych widzów: Jim Henson przedstawita świat teatru lalkowego
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia — magazyn krajów socjalistycznych
18.00 Telewizyjny informator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka
19.10 Program publicystyczny
19.30 Dt
20.05 „Słodka jak ty" — film fab. prod. ang. Reż. Angela Pepe.
21.15 Studio sport: I runda Europejskich Pucharów w piłce nożnej — mecz: FC Barcelona — Legia Warszawa w przerwie (ok. 22.00 Kroniki PAT: Tak było...
23.00 Dt — echa dnia

PROGRAM II

16.55 Program dnia
17.00 Studio sport: Klubowy Puchar Europy w piłce nożnej — mecz: Ruch Chorzów — Sredec Sofia w przerwie ok. 17.45 Telewizyjna Panorama Lubelska
19.00 Festiwal polskich filmów fabularnych
19.20 Libia — program dok.
20.00 Mistrzowie wiolnistyki: Konstanty Andrzej Kulka.
21.00 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów Programu II
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" (37) — serial TVP
22.15 [illegible]
23.00 [illegible] nocą
[illegible] Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluszuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wiszłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 265-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830.
Zam. 1330. 7.09.1989 r. B-4

TEORETYCZNIE?

Henryk Pająk

OPOZYCJA doszła do władzy. Stała się władzą. Tym samym zamknął się heroiczny etap więzień, aresztowań, zatrzymań, obelg, oszczerstw, szyderstw, a także zgonów w niewyjaśnionych okolicznościach. Dokonał się rutynowy, stary jak świat, jak historia przewrotów politycznych, akt sprawiedliwości czy dialektyki — gnębieni doszli do władzy.

Taki jest w powszechnym odczuciu sens ostatnich przesunięć na mapie sił politycznych w Polsce. Czy nie mylne to odczucie? Nie przedwczesne?

Jutro między godziną trzecią po północy a ruszeniem pierwszych autobusów cała ta władza może znaleźć się pod kluczem. Po następnych dwóch godzinach wypełni znane jej z autopsji „internaty" typu Barczew. Z porannych komunikatów zaspani obywatele mogą się dowiedzieć, że tej nocy ponownie zostały podjęte bolesne, lecz absolutnie konieczne, wymuszone kroki, mające zapobiec dalszemu demontażowi państwa, a w planie geopolitycznym — próbie wyprowadzenia Polski z rodziny państw Układu.

Oczywiście, na tle powszechnej euforii ostatnich tygodni jest to wizja katastroficzna. Wypreparowana z realiów wewnętrznych i zewnętrznych Polski. Więc prowokacja.

Teoretycznie — tak. A praktycznie?

Praktycznie wszystkie warunki, wszystkie narzędzia, wszyscy i wciąż ci sami ludzie, organizacyjnie, emocjonalnie i ideowo gotowi do wcielenia w życie tej katastroficznej, nierealnej, prowokacyjnej wizji — tkwią na swoich miejscach. Trzymają palce na sprawdzonych osiem lat temu guzikach. A jeśli tak, to teoretycznie taki scenariusz jest możliwy.

A jeśli tak, to również praktycznie nie jest wykluczony.

Ja się nie boję, ja jestem spoza, siedzę na barykadzie okrakiem, załapię się na każdy układ, 13 grudnia '81 przespałem bezpiecznie, 13 grudnia '89 prześpię podobnie, ale, do licha, licho nie śpi!

Czy to prowokacja? Dmuchanie na zimne? Jakie zimne? Opozycja zasiadła na wrzącym wulkanie zrujnowanej gospodarki jak na tronie. Na razie cieszy się dwiema rzeczami — rozległością widoku oraz łatwością sukcesu. Ale sukces byłby wtedy, gdyby władza leżała na ulicy, a nie na szczycie płonącego wulkanu. Suworow, cofając się przed Napoleonem, doszczętnie spalił drewnianą Moskwę. Ze skutkiem fatalnym dla pozornych zdobywców.

W towarzystwie kilku podpalaczy, pozostawionych w charakterze obserwatorów, opozycja wkracza w płonącą gospodarkę już nie jako ruch masowy, tylko grupka, selekcyjnie przez obydwie strony koncesjonowanych, polityków. Czy takie spostrzeżenie jest prowokacją? Było przecież ustalone, że wchodzimy dopiero po opuszczeniu lokalu przez poprzednich lokatorów. Opozycja wjeżdża na Belwederską w trojańskim koniu demokracji, gdy poprzednicy wjechali niegdyś w czołgach. Niestety, wprowadza się jak układny lokator: tu postawi się ściankę działową, tam parawanik, tam kotarkę, całość wytapetuje i jakoś to będzie. A klucze do lokalu nadal w kieszeniach klucznikow!

Przejściowy charakter tego prowizorium jest widoczny dla każdego, tylko nikt nie potrafi zgadnąć, czym się to skończy. Mapa polityczna Polski na dającą się jako tako przewidzieć przyszłość — to terra incognita. Jeśli kolejne wybuchy społeczne zdmuchną jedną ekipę, na jej miejsce nastanie inna itd. Jakieś władze muszą być. Pytanie tylko, jakie to one będą. Z przykrością widzę premiera T. Mazowieckiego w roli kozła ofiarnego. Miły, z zasadami polityk, ale zbyt kameralny jak na panoramę ze szczytu wulkanu.

Wulkan dymi, w środku dudni, w dole słychać pomruki niezadowolenia. Szemrze lud, sarka opozycja w opozycji. Głównie ci, co nie załapali się na szczyt.

Niedawno skrzyknęła się krytykancka grupka ponad 50 radykałów z takimi nazwiskami jak: Moczulski, Szeremietiew, Romaszewski, Herling-Grudziński. Nazwali się grupą PPP: Porozumienie Ponad Podziałami. Ja bym to nazwał raczej odwrotnie: Podziały Ponad Porozumienia, bo członkowie PPP stwierdzają, że do władzy dorwała się grupa licencjonowanych opozycjonistów Solidarności.

Wprawdzie PPP kojarzy mi się z okupacyjnym pPp (pracuj Polaku powoli), ale nie wybrzydzajmy: program polityczny i gospodarczy PPP podoba mi się. Mnie zresztą odpowiadają programy á la Moczulski, programy bez kluczników. Ja sam jako mieszanina masochizmu z anarchizmem, chciałbym się też podwiązać, załapać. Do czegoś mocnego. Do jakiejś nielicznej, prześladowanej, fanatycznej ekstremy. Na razie nic takiego nie widzę. Wszystkie dłonie złożone do oklasków. A mnie zawsze korciło, aby, jak Chruszczow, zdjąć but i wyrżnąć w mównicę.

Na razie serwują mi papkę sprawozdań z debat w Sejmie, Senacie. Z tego nie kończącego się gmerania w ocenach, w rozrachunkach i porachunkach. A wszystko to w niewiarygodnej symbiozie z klucznikami.

PS. Licznym Czytelnikom, pytającym o powody zniknięcia z łamów „Relacji" Hena Spidera i jego felietonów, uprzejmie przypominam, że w języku angielskim „the spider" znaczy: pająk.

Polskie gospodarstwo

ZABRAĆ INWALIDOM DAĆ NOMENKLATURZE

Andrzej W. Pawluczuk

NIKT nie budzi we mnie większego obrzydzenia jak osobnik, który odważy się skrzywdzić istotę bezbronną. Dziecko, chory, osoba niepełnosprawna czy wreszcie ktoś inny, zdany całkowicie na czyjąś łaskę, zasługuje na szczególną życzliwość, ponieważ nie potrafi sam wyegzekwować, a często nawet upomnieć się o należne mu prawa. Żadne hasła o „humanizmie socjalistycznym" nie zastąpią w tej mierze uczciwego i moralnego ustawodawstwa, ponieważ ludzie bezbronni muszą być raz na zawsze uwolnieni od czyjegoś widzimisię.

Czyjego mianowicie widzimisię? Zaraz to rozpatrzymy na konkretnym przykładzie. Oto, jak doniosła prasa codzienna, wraz ze zmianą oprocentowania kredytów bankowych, cofnięto 1 sierpnia kredyty na zakup samochodów inwalidzkich, motywując, iż bank nie jest instytucją charytatywną. Dodajmy, że nie chodzi tu tylko o ludzi, których kalectwo widoczne jest gołym okiem. W dużym procencie dotyczy to rodziców dzieci z zespołem Downa, porażeniem mózgowym i sparaliżowanych. Te rodziny żyją najczęściej z jednej pensji, ponieważ matka musi przy takim dziecku czuwać bez przerwy. Dla tych wszystkich ludzi własny samochód to jedyna szansa, aby żyć w miarę normalnie, zrobić zakupy, dojechać do pracy czy do lekarza, a także na niedzielną wycieczkę za miasto. To nie żaden luksus, to artykuł pierwszej potrzeby, który — obok telefonu — powinni ci ludzie mieć w zasięgu ręki.

Samochód to dobro u nas szczególnie deficytowe, a więc i szczególnie poszukiwane. Zobaczmy zatem, jak zaopatrują się w samochody ci, którzy nami rządzą i którzy wydają takie decyzje jak ta o zabraniu kredytów inwalidom.

Otóż kadra wyższych urzędników państwowych, partyjnych i gospodarczych, czyli tzw. kadra decydencka, oprócz tego, że zawsze posiadała samochody do tzw. użytku służbowego, otrzymywała co parę lat (niektórzy co roku) talony lub asygnaty, uprawniające do kupienia samochodu według ceny państwowej, kilkakrotnie niższej od ceny wolnorynkowej. Pamiętam na przykład, że wówczas gdy fiat 125p kosztował w sklepie czterysta kilkadziesiąt tysięcy, na giełdzie ceniony był na dwa miliony.

Co więcej, decydent mógł kiedyś na kupno samochodu dostać dogodny kredyt we własnym zakładzie [illegible] wówczas miał kolejne samochody do pracy. A wówczas bowiem tak: pierwszy praktycznie za darmo. Było [illegible] po trzech latach nowa asygnata i sprzedaż starego. A stare samochody, dzięki odpowiedniej polityce państwa, sprzedawało się bardzo korzystnie. Oto w roku 1979 mój sąsiad sprzedał trzyletniego „malucha" za 115 tysięcy złotych. Za nowego zaś, na którego dostał asygnatę, zapłacił tylko 69 tysięcy. Tak więc kolejne samochody miał człowiek z nomenklatury nie tylko za darmo. On na tym nieźle zarabiał i sądzić należy, że w ten sposób państwo nagradzało oddanych sobie, lojalnych funkcjonariuszy.

Tu anegdota. Parę miesięcy temu spotkałem w nadmorskim województwie dawnego kolegę w nowiutkiej ładzie. „O! — powiedziałem z nutą zazdrości w głosie. — Mnie nie stać na taki samochód". Na to ów kolega odparł: „Bo ty byłeś zawsze przeciw. A ja — swoje odsłużyłem i mam!" Czego dowodzi taka odpowiedź? Ano tego, że socjalistyczny establishment uważał owe przydziały, asygnaty, przeceny i darmowe działki pod budowę za coś, co należy się za wierną służbę. I ów establishment przyznawał się do tego otwarcie, rzekłbym — cynicznie. „Mówcie i róbcie, co chcecie — zdawała się zawierać odpowiedź mojego dawnego kolegi — a my i tak potrafimy zadbać o swoje interesy".

Oczywiste jest, że przy tzw. socjalistycznej dystrybucji dochodu narodowego koszt owych asygnat i przecen obciążał kieszeń społeczeństwa. Jakie to mogły być sumy? Myślę, że w skali przeciętnego województwa różnica pomiędzy ceną podstawową a giełdową samochodów przydzielonych wyższej kadrze decydenckiej wynosiła rocznie (w sumie) do kilku miliardów złotych (nie licząc urzędów centralnych). Dużo to czy mało? Przeliczmy tę kwotę na szkoły, przedszkola i karetki pogotowia. Dalszy komentarz zbyteczny.

Rząd premiera Mieczysława F. Rakowskiego (a poczytajmy w starych gazetach, co pisano z chwilą jego powołania) poszedł jeszcze dalej w tym rozdawnictwie majątku narodowego. Oto 9 maja 1989 roku minister transportu, żeglugi i łączności zarządził, że kadra partyjna, administracyjna i gospodarcza dostaje samochody całkowicie za darmo! Oto dana firma czy instytucja kupuje samochód, po czym przekazuje go w użytkowanie danemu funkcjonariuszowi. Zawierana jest umowa, w myśl której rejestracja, ubezpieczenie, podatek drogowy, koszty napraw i wydatki na paliwo zużyte w celach służbowych pokrywane jest przez zakład pracy, czyli albo załogi (np. w fabryce czy spółdzielni), albo budżet państwa (dotyczy to m.in. urzędów administracji państwowej). Samochód ten pozostaje więc praktycznie w osobistej gestii użytkownika, nikt oprócz niego nie może go użytkować, a jedynie wówczas, kiedy używa się go do celów prywatnych, użytkownik kupuje benzynę za prywatne pieniądze. A co się stanie, jeżeli podczas prywatnej jazdy samochód się zepsuje? Każdy, kto zna polskie realia, bez trudu zgadnie, że koszty naprawy pokryje firma, czyli — społeczeństwo.

I oto ci sami ludzie, którzy ustanowili p r a w o, że część dochodu narodowego przeznacza się na darmowe samochody dla n i c h samych, wydali p r a w o, że inwalidę pozbawia się kredytu na zakup marnego trabanta, którym zapewne wstydziliby się nawet jeździć. Skąd wiem, że są to ludzie o i s a m i? To proste. Obie decyzje podjęte zostały przez funkcjonariuszy tego samego rządu, kierowanego przez premiera Mieczysława Rakowskiego.

Jest wyjątkowo obrzydliwe, że ludzie, którzy doprowadzili Polskę do ruiny ekonomicznej i ekologicznej, w dalszym ciągu dzielą dochód narodowy tak, aby im niczego nie zabrakło, nie oglądając się na ludzi, którzy wymagają specjalnej opieki. Ludzie, którzy i tak żyli lepiej od nas, chociaż ich decyzje coraz bardziej spychały nasz kraj do przepaści, teraz, kiedy nie można już tak bezkarnie jak dawniej zabierać robotnikom, zabierają inwalidom.

Jest to coś tak bardzo dalekiego od norm cywilizacji europejskiej, że nie potrafię tego nazwać. Za to z całym przekonaniem polecam ten przypadek parlamentarnej komisji, która będzie badać działalność poprzedniego rządu.

Uważam **również, że pierwsze** decyzje nowego rządu powinny dotyczyć zmiany tych przepisów i unormowań prawnych, które bezpośrednio krzywdzą ludzi. Oczywiście trudno w tej mierze mówić o gradacji spraw, ponieważ tak wielki i tak ciężki jest rachunek krzywd, który narastał systematycznie w ciągu całego czterdziestopięciolecia. Ale przywracanie sprawiedliwości jest tym, co ludzie odczują najszybciej.

W NUMERZE 35. OPUBLIKUJEMY:

● ARMIA CZERWONA NA LUBELSZCZYŹNIE W 1939 R. ● WRZEŚNIOWA TUŁACZKA PREZYDENTA I PREMIERA ● ŁZY MATEK ● „NA LITWIE NIE MA POLAKÓW!" ● ŚWIAT I BÓL ORMIAN ● KOMU NIE STAWIAMY POMNIKÓW? ● PRYWATNA WOJNA MICHAŁA ZIELIŃSKIEGO ● O GŁUPKACH PRASOWYCH